

**STANISŁAW
IGNACY
WITKIEWICZ**

NIENASYCENIE. CZĘŚĆ
DRUGA, OBŁĘD

Stanisław Witkiewicz

Nienasycenie. Część druga, Obłąd

«Public Domain»

Witkiewicz S.

Nienasycenie. Część druga, Obłąd / S. Witkiewicz — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Część druga. Obłąd	5
Szkółka	6
Spotkanie i jego skutki	13
Repetycja	18
Myśli wodza, a teatrzyk Kwintofrona Wieczorowicza	36
Конец ознакомительного фрагмента.	42

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Nienasycenie. Część druga, Obłąd

Część druga. Obłąd

Poświęcone pamięci Tadeusza Micińskiego

Szkółka

Strasliwe czasy nastąpiły dla Genezypa Kapena. Pocieszał się tylko tym, że takie same czasy nastąpiły prawie dla wszystkich. Tak, tylko niektórzy, w tym ostatnim zdawało się podrygu, umieli jeszcze użyć uciekającego ogonka życia – na niego zawzięło się wszystko – i od zewnątrz, i od wewnątrz. I nie zdawał sobie z tego sprawy ten bałwan, że tkwi w samym „złotym” jądrze szczęścia (złotym w znaczeniu zorzy jesiennego nieba, żółtkę listka osiki w słońcu, połysku doskonałego w swej formie żuka), (bo jak śpiewał czasem myjąc się marchese Stampi:

„jeśli cię nic nie swędzi i nie zanadto boli,
nie miej pretensji żadnej do najsroźszej doli”.)

w środku pestki „zrałej”, pękającej doskonałością barw jagody na tle krystalicznego błękitu przestrzeni, jagody, którą inni może tylko z lekka oblizywali, a którą on żarł od środka jak tłusty robak, raczej gąsienica, z której miał powstać mieniący się wszystkimi kolorami motyl. Ale czy powstanie? Oto pytanie. „Ja, wybierając los mój, wybrałem szaleństwo” – mógł powiedzieć z Micińskim. A do tego jeszcze wszystko sprzysiężone w jedną, precyzyjną w swej celowości maszynę, pchało go ku temu szaleństwu systematycznie, nieprzeparcie. Jak takie „*psychopatisch angehauchtes Individuum*” „*tombera dans un pareil engrenage*” to „*wsio propało*”. Ale tłumacze to wszystko takiemu durniowi. Młodość – któż zdoła wyrazić urok tej istności, która tylko we wspomnieniu jest tak piękna, jak mogłaby być w aktualności swej, gdyby nie związana z nią, na prawie husserlowski „*Wesenszusammenhang*”, głupota.

Informacja: Kraj zamienił się w jedną olbrzymią poczekalnię, o tak szalonym napięciu potencjałów czekania, jakiego w historii dotąd nie notowano. Może zaledwie żydzi czekali tak Mesjasza, jak u nas wszyscy nie wiadomo czego. Prócz zmechanizowanej do idiotyzmu pracy każdego obywatela w jego krążku działania, głównym zajęciem było tak zwane „oczekiwanie samo w sobie” – „*die Erwartung an und für sich*”. Nawet Syndykat Zbawienia Narodowego – (raz na zawsze S. Z. N.) („Stowarzyszenie Zająców Najtchórzliwszych” – jak mówiły cienie dawnych komunistów) funkcjonował automatycznie w niepojęty sposób, zdając wszystko ze strachu przed odpowiedzialnością, na przyszłe, niewiadome czyny Kocmołuchowicza. Ten zaś, tajemniczy jak nigdy, (nikt nie wiedział, po czyjej jest stronie, i nikt nie śmiał tego badać) – walił całą swą niesamowitą energią w organizację armii, przygotowując ją do nieprzeczuwalnych dla nikogo czynów. Kogo zechce, czy raczej **kogo raczy** wyróżnić, nie wiedział nikt, ani on sam – był zarówno tajemniczym dla siebie, jak i dla innych – a może więcej – w tym była jego siła. Nie wiedzieć czego się chce było w tych czasach wszechwiedzy i wybujałej introspekcji trudniejszą rzeczą niż wiedzieć.

Moskwa była zdobyta. Między Polską a chińską nawałą znajdował się pas „buforowych”, czy „butaforskich” Wielkich Księstw: litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, w których panował chaos nieopisany i zupełnie nieciekawym. Wiadomo, jak taki chaos wygląda – (ciekawym jest tylko dla tych, co w nim są – z boku nie przedstawia żadnych punktów zainteresowania – prócz tego, „co się z niego wyłoni”, a o tym znowu nigdy nic zawczasu powiedzieć nie można). – A więc: a) tak zwane przeciąganie wzajemnie rżnących się band przez różne punkty, b) problem, jakie należy mieć danego dnia przekonania w danym punkcie i c) kwestia zarcia – oto wszystko. Reszta: stosunki płciowe, metafizyka i klimat

pozostają niezmienione. Opowiadania o tym na gębę i piórem nudne są aż do rzygania włącznie. Wszyscy Wielcy Książęta (nawet Nikifor Białosielski, Kijowski), znajdowali się już w Polsce i lizali od rana do nocy stopy S.-Z.-E.-nu, robiącemu pod siebie w przerażeniu najwyższym. Zdarzały się odstępstwa w nieokreślonej sferze programowej „*Erwartungspolitik*”. Próbowano nawet założyć stronnictwo „Oczekiwaczy Czystych”. Ale Kocmołuchowicz szybko zlikwidował tę sprawę: nie lubił rzeczy nieokreślonych – robiły mu konkurencję. Z zalanej przez Chińczyków Rumunii nie dochodziły żadne wieści. Mniejsza z tym. Dalej nie posuwały się te żółte małpy, jak mówiono prawie ze złością. Nie wiedziano, że ten stan rzeczy miał trwać o wiele dłużej niż przypuszczano. Właściwie w całym kraju jedynie dobrze czuł się Kocmołuchowicz – (to było bezsprzecznie jego *perihelium*) – i może jego najbliższe otoczenie – chociaż troszeczkę gorzej. Znając jego nieustraszoną odwagę nikt nie mógł go posądzić o osobiste tchórzostwo, ale mimo to, w niektórych kołach „pobrzękiwaczy szabelką”, szeptano głucho w dzikim strachu, że powinien by tak jednak natrzeć pierwszy, zanim Chińczycy zdołają zorganizować na swój sposób Rosję. Tymczasem działy się dziwne rzeczy w tej jedynej na kuli ziemskiej krainie niespodzianek. Na skutek „wszechludzkiego” zakazu używania na wojnie gazów i aeroplanów – (pierwsze w postaci tak zwanych „gazów psychicznych” używane były w walkach wewnętrznych, drugie jedynie jako środek komunikacyjny), który wydała wszechwładna Liga Obrony Racjonalnej Wojny (z siedzibą) w Caracas w Wenezueli, i którego trzymali się z absolutną ścisłością nawet Chińczycy (ci, dzięki Konfucjuszowi, jedyni dżentelmeni na naszej planecie) przemysł chemiczny i lotniczy znajdował się w zupełnym zastoju, ćwiczone u nas właściwie tylko piechotę, i kawaleria, – macierzysta broń generał-kwatermistrza, – nawet ona była z lekka zaniedbana. Armie automatyzowano z wzrastającym ciśnieniem na wszystkich piętach. Paradne marsze zajęły prawie połowę czasu, który dawniej poświęcano ćwiczeniom taktycznym. Przypominały się carskie czasy w rosyjskiej gwardii. Liczba oficerów wzrosła niepomiernie – już na pięciu żołnierzy wypadał jeden oficer, a tu ilość oficerskich szkół powiększano ciągle. Pacyfiści obliczali, że energia zużyta na samo salutowanie szła w miliony ergów na jeden dzień, tym bardziej, że jako zbyt lekceważący, zniesiono system dwupalcowy – salutowało się całą łapą, jak przystało. Defajdyści, jak z polska po francusku nazwano „*defaite'ystów*” przepelzali bokami jak gady, szepcząc jedynie sobie wzajemnie potworne wiadomości. Sejm nie funkcjonował, budżet nie był dokładnie znany nikomu. Zaczęto coś nawet przebąkiwać o „tajnej pożyczce chińskiej”. Ale redaktora gazety, który coś podobnego w przybliżeniu tylko napisał, rozstrzelano po bardzo krótkim procederze (dla przykładu) – (czy jest coś okropniejszego z punktu widzenia tego rozstrzelanego?) – i przebąkiwacze przestali przebąkiwać – jak makiem zasiał. Sytuacja była tak dziwna, że najstarsi ludzie łapali się za głowy – ale zaraz przestawali – bo właściwie po co? Ogólna miłość i zgoda przeszły nagle, w połowie kwietnia, w ogólną wzajemną nieufność z dawnych czasów. Potężny katalizator na Wschodzie dysocjował i jonizował nietrwałe, wybuchowe związki wewnętrzne swoim kolosalnym polem napięcia, które podobno dawało się odczuwać już w Niemczech. Czuło się, że są tu wplątane siły obce, ale gdzie był ich punkt zaczepienia, nie mógł dociec nikt, bo pewni ludzie umieli milczeć gorzej od ryb, a ci, co by chcieli czegoś się dowiedzieć, nie mogli – nie mieli egzekutywy tortur. Jak w ogóle tego rodzaju stany, stosunki, poglądy i instytucje mogły istnieć, wobec opasującego nasz biedny kraj pierścienia sowieckich republik, z wylotem na do niedawna białogwardyjską Rosję, nikt pojąć nie był w stanie. A z tymi, którzy

okazywali skłonności do odgadnięcia tej zagadki postępowano tak, że najśmielsi tracili na ten widok dycht i kontenans. Bo to wiedzieli wszyscy: od 1 kwietnia tortury były na porządku dziennym. Ale mówić o tym znaczyło tyle, co już być dawno storturowanym. Nauczyły się więc milczeć największe nawet zafajdane zwykle plotami gaduły i najbardziej śmierdzące, niemyte pyski – milczała nawet prasa.

Genezyp mało odczuł utratę swoich niedoszłych prawie bogactw, bo nie nauczył się ich jeszcze używać. Matka pocieszała się swobodą i szatańską wprost miłością, którą wzbudziła w czterdziestokilkuletnim, niezużytych przez kobiety Michalskim. Wydobywanie z tego bykodziałacza, dzikołaka i wdowca całych wagonów dziecięcych wprost uczuć i promieniowanie rozwartą w pełni kobiecością, na co już nadziei pod koniec nie miała, otworzyło jej dopiero oczy na świat, który z suchego wiórka zmienił się dla niej w jakąś tryskającą fontannę nieznanych barw, dotyków, zapachów, pojęć, spermy i rozpierającej radości – zagrała krew przodków: grafów de Kisfaludy-Szaràs, chociaż po kądzieli. Przy czym sama rozwijała się jakby w jakiejś diabelskiej wylegarni. Wywleczono zapyłone wymyślności, których przed wiekami uczył ją jeszcze nieboszczyk-mąż – zza grobu rozwijał i kształcił teraz szczęśliwego kochanka. Doprowadzony do ostateczności Michalski postanowił się z nią żenić, ale ona nie mogła jeszcze powziąć w tym względzie ostatecznej decyzji. Finansowo pomagali trochę krewni, ale z niechęcią, bo dawniej też byli przeciwni małżeństwu dobrze urodzonej sieroty z „tym piwowarem”. „Jak spadać w tym kierunku, to już na samo dno” – mówiła sobie pani Kapenowa i coraz bardziej zżywała się z myślą połączenia swego losu na zawsze z buchającym energią buhajem, „królem pepeesowych kooperatyw”, jak nazywano jej ukochanego Józia. Jedynie Lilian buntowała się przeciw twardemu losowi. Utrata jaśniepańskości i związanego z nią ciągłego płaszczenia się „warstw niższych”, co napawało ją, jak to teraz dopiero pojęła, ciągłą, chroniczną przyjemnością, była ciężka. Ale i ona w niedługim czasie znalazła swoją własną równie pochyłą dogodnego upadku, tylko bardziej interesującego niż proste, jednorazowe „durknięcie w dół” matki – zaczęła mianowicie grywać dziecinne rólki w teatrzyku Kwintofrona (tak zwanym „Kwintofronium”), gdzie umieścił ją, po przewyciężeniu pewnego oporu baronowej, zakochany w córce jej do zupełnego „ostierwienienja”, bujny i burzący się, i nie mieszczący się ciągle w sobie, Sturfan Abnol. Postanowił wychować małą Kapenównę na swoją żonę „nowego typu” – jak mawiał tajemniczo. Mieszkali w czterech pokoikach, w opuszczonym pałacu Gąsiorowskich na ulicy Retoryka – każdy wie, gdzie to jest.

W trzy dni po przybyciu do regionalnej stolicy K. = R. S. K., Zypcio wzięty został w kluby straszliwej dyscypliny oficerskiej szkoły typu C – najpiekielniejszej – za zmarszczkę na prześcieradle kara była do dwóch dni aresztu, zależnie od okoliczności ubocznych. Nazywano ich prowincjonalną gwardią kwatermistrza, popularnie – pegiekwakami. ON SAM stawał się w tych środowiskach postacią prawie że mityczną, mimo (to prawdziwy cud) aż nazbyt realnej swej egzystencji, objawiającej się w częstych wizytacjach, po których panika zdawała się pozostawać w budynkach w postaci jakiegoś prawie materialnego fluidu. Duch jego dosłownie obecny był na wszystkich lekcjach i ćwiczeniach – wolne od niego były zdaje się tylko ubikacje laksatywne, w których oddawanie honorów zostało wzbronione. Raz jednak zdarzyła się zabawna – z punktu wojskowego historia – oto kwatermistrz wpadł do jednej z takich salek, gdzie kołem stały uprzejmie zapraszające do wypróżnień instrumenty – wpadł, by przekonać się o tym, czy odpowiedni rozkaz jest szanowany. Było pełno. Nie wytrzymali przerażeni niedoświadczeni cywile – stanęli na baczność jak jeden mąż, nie bacząc na stadia czynności swych, w jakich się znajdowali. Wszyscy dostali po pięć dni kozy. „Lubię, jak wiara w portki przede mną sra – nie będą tego robić na froncie” – mawiał wódz, puszczając swe czarne, kozackie wąsiska. Ale na tle dawnego ojcowskiego terroru dyscyplina mało ciężyla młodemu „junkrowi” (jak nazywano też z rosyjska wychowanków szkół wojskowych) – przyzwyczał się szybko do bezsensownych procedurów (zaczął nawet pojmować ich sens głęboki), a nawet stał się dla niego cały ten aparat miażdżenia i kształtowania na nowo, obcej armii, normalnej indywidualności doskonałym antidotum na ostatnie przeżycia – był właśnie warsztatem „beziemiennej siły” Tengiera. Z

niesmakiem, nieomal z pogardą myślał teraz Genezyp o tej włochatej pokrace. Sztukę całą miał gdzieś i poniekąd słusznie – co komu z tego w takich czasach. A o ledwo zrodzonej metafizyce mowy nawet nie było – czas był wypchany aż do pęknięcia – życie szło z maszynową jednostajnością. Pierwsze dwa tygodnie nie opuszczał embrion oficera ponurego gmachu szkoły, wznoszącego swą ceglasto-rudą masę na zboczach białych, wapiennych podmiejskich wzgórz – nie mógł się nauczyć prawidłowego oddawania honorów. Wieczorami, w **krótkie** pół-godziny wytchnienia przed obiadem, marzył o dalekim mieście i rodzinie, wpatrzony w buro-czerwoną lunę na horyzoncie, rozświetlaną czasem zielonymi odblaskami tramwajowych iskier. „Dobrze ci tak – teraz masz” – powtarzał sobie. Rosła w nim siła, ale nie jako posłuszne celowe narzędzie, tylko jakby jakiś anarchistyczny eksplozyw, który nie chciał całkowicie zmagazynować się w wyznaczonych mu komorach – przelewało się to gdzieś w tajne, nieznanie prymitywnemu introspekcjoniście zaułki ducha i tam krzepło w coś złego, nastroszonego przeciw niemu samemu i życiu. Coraz częściej odczuwał pokłady nienazwanej obcości w sobie, ale na dłubanie w rzeczach tych nie miał czasu. Tak się to gromadziło, gromadziło – aż na koniec: „trach” i... ale o tym później. Było jedno: najgorszy objaw: tworzona siła obracała się przeciw jej twórcy. Obok, na marginesie duszy, zapisywała jakaś obca ręka tajemnicze znaki, które odczytać miał dopiero dużo później. Były to funkcje tłących się w podziemiach jaźni wspomnień tamtego przebudzenia się dziwności i tamtych przeklętych pierwszych dni życia na swobodzie. (Czy nie ostatnich?) Zdawało się, że otworzyła się i zaślniła w zaświatowej jakiejś błyskawicy jaskinia pełna skarbów, dziwów i potworności, a potem zatrzasnęły się wrzeczadze (koniecznie wrzeczadze) i nie wiadomo było teraz, czy to nie był sen tylko. Jakże okropnie przedstawiało się teraz to pierwsze wejście w otchłań niewiadomego, co tak nęciła tajemniczym urokiem, różnobarwnością przyszłych zdarzeń, możliwością nasycenia nieuświadomionych apetytów – od najniższych do najwyższych. Apetyt umysłowy, zdławiony w zarodku w ten wieczór u Tengiera i w pustelni Bazylego, nie dawał znaku życia. Już niczego nie spodziewał się Genezyp po „literaturze”, która zawierała dla niego dawniej wszystkie możliwości i niespełnione uroki życia, to nasycenie ostateczne, którego w życiu być nie mogło. Zróżniczkowało się wszystko, rozprysło na tysiące nieskoordynowanych zagadnień: od tajemniczości Istnienia jako całości – do mrocznych głębin uczuć, które zazębiały się o stającą się rzeczywistość w sposób zastraszający i złowrogi. Dwoistość – były chłopczyk i obcy mu stający się oficer – dwie te istności bełtały się obok siebie, nie mieszając się nigdy w jedną osobowość. Więc **takim** miało być to wszystko? W tym słowie zawierało się piekielne rozczarowanie. Ale czuł się też winnym sam. Od tego dnia i nocy tej zależała cała przyszłość. I co z tego uczynił? Sięgnął brudną, chłopięcą łapką w otchłań tajemnicy i wyciągnął kupę krwawych flaków. A może naprawdę był to skarbiec i on sam, przez to nieumiejętne sięgnięcie, zmarnował wszystko i nigdy już nie wróci taka chwila, aby móc ten błąd naprawić.

W tym czasie Genezyp zaczął stawiać pierwsze kroki w nieistotnej dotychczas sferze przyjaźni. Toldzio był zdyskwalifikowany zupełnie. Inne pseudo-przyjaźnie z czasów szkolnych zapadły się w nieokreśloną, nieodróżniczkowaną masę przeszłości jednocześnie ze zmianą warunków życia. W ogóle cały ten czas, zdający się kiedyś tak pełnym znaczenia i barwnych przeżyć, bladł coraz bardziej i zasnuwał się szarą zasłoną na tle nowych wypadków, które jak ostrza wbijały się w świadomość, wierząc niby artezyjskie studnie w niezbadanych dotąd, pustynnych krainach ducha, dobywając z tajemniczych głębin jak wędki coraz to nowe myśli-potwory głębinowe, coraz to ostrzejsze uświadomienie istoty rzeczywistości. Ale wszystko to było nie to i nie to... „Więc to taki jest ten świat” – w zdaniu tym mieściły się całe pokłady niewyraźnych znaczeń, których ogólną formułą mogłoby być jakiegokolwiek twierdzenie, wyrażające przypadkowość w konieczności, dowolność każdego czynu na tle poczucia, że musi się być takim a nie innym w całości, w tym właśnie miejscu czasu i przestrzeni, ograniczonym niby absolutnymi prawami fizyki, a jednocześnie nieskończenie wolnym w teoretycznych choćby możliwościach, – wyrażające ogólnie kontyngencję na tle przyczynowości, obejmującą całe Istnienie wraz z niemożnością pomyślenia nie tylko Absolutnej Nicości, tego absolutnego nonsensu, ale nawet głupstwa tego rzędu, co na przykład przypuszczenie:

„a co by było, gdyby mnie nie było wcale”, któremu, a nawet przypuszczeniu Nicości, logicznie nic zarzucić nie można. Prawo i bezprawie, i płynąca stąd względność, męczyły w wolnych od zajęć chwilach mózg tej oficerskiej protoplazmy. Oczywiście dla Kocmołuchowicza na przykład myśli takie byłyby nonsensem nie-do-zniesienia. Może w godzinę śmierci zaledwie zdobyłby się tego gatunku człowiek na potraktowanie serio tak wysokiego rzędu baliwerni. A iluż było już wtedy młodych ludzi, którzy nie zdążyli (mimo pewnej inteligencji) zauważyć w sobie podobnych stanów podmyślowych, wydzielić ich jako coś odrębnego z codziennego tła zwierzęcej pospolitości. Każda upływająca chwila zdawała się już być pełną ostatecznego zrozumienia, czym jest to upragnione i wiecznie uciekające życie, a każda następna zadawała kłam tej ostateczności, przebijając nowe warstwy wewnętrzne i ukazując nowe sfery na zewnątrz, a wszystko na opak i nie tak jak trzeba. Nie oceniał Genezyp szczęścia tego okresu: męczył się ciągłą zmiennością i zwięzaniem się pozornie nieogarnionych możliwości – już widział niewyraźnie klin, w który miał się zaklinować na zawsze: będzie (ogólnie) takim, a nie innym – jakim? – nie wiedział. Więc **takim** jest to życie, ciągle nieuchwytnie, wymykające się wykrętnie, kiedy już zdawało się, że się ma w ręku jego sam najskrytszy pępek czy ośrodek, z którego wszystko dałoby się automatycznie wywlec, wykręcić i wyżyć. Chodziło, mówiąc popularnie, o zasadę, z której logicznie każdy słuszny sposób reakcji na dane zjawisko można by wyprowadzić. Mimo tych wysiłków zdobycia jednolitego poglądu w sferze idealnej, zawodziły wszystkie drobne postanowienia realne, a ciągle niespodzianki zewnętrzne (oficerowie kursowi, koledzy, świat wojskowych pojęć i zwałana codziennie na głowę pakami całymi odpowiedzialność) i również niespodziewane, nie dające się absolutnie przewidzieć i opanować, reakcje wewnętrzne, napełniały Genezypa niesmakiem i wstrętem do samego siebie. Tracił nadzieję, że chaos ten kiedykolwiek da się w jakiś jednoznaczny sposób uporządkować i opanować. Ludzie, ci inni niepojęci ludzie – to był najjadowitszy problem, tak byli inni, że nie można sobie było wyobrazić możliwości porozumienia, mimo używania tych samych znaków o tych samych znaczeniach. Zypcio po raz pierwszy zaczął ze zdumieniem rozpoznawać różnorodność typów ludzkich. Dawny ojciec i „dawna” również księżna wydawali mu się teraz jedynie tworamii jego własnej wyobraźni – przekonał się, że ich wcale nie znał – tak – i nie pozna – bo z księżną postanowił nie widzieć się nigdy w życiu, a ojciec jak wiadomo umarł – otóż to właśnie: było to wiadomym, ale śmierć ta nie była śmiercią innych ludzi i możliwą jego własną – to była inna śmierć – niezupełna. Stary żył w nim i niepoznawalny już w rzeczywistości rozrastał się jako nowa przepoczwarzona, ekstrapolacyjnie poza polem doświadczenia wytworzona i oczywiście sfałszowana osobowość – urastał do rozmiarów wszechwładnego tytana. Jeśli wierzył Zypcio w życie przyszłe i duchy, to jedynie w stosunku do ojca. Możliwa jego śmierć własna stanowiąca zupełnie różną od śmierci innych ludzi „istność”, była też zróżniczkowana: jedna: śmierć ogólnie-daleka, symbol końca życia, której bał się czasem właśnie śmiertelnie, i ta druga, wesoła, niebezpieczna, „sławna”, „śmierć walecznych”, po której zdawało się rozpoczynać nowe życie. Mimo pogardy dla sztuki i osobistego wstrętu, coraz bardziej tęsknił do wszechwiedzącego Tengiera – tylko żeby nie ta jego pokraczność i pocałunki – brrr...

Ciągła samotność wśród ludzi i poza zajęciami nawet, w największym gwarze, wytwarzała obłądne samozjadanie się w „myślach”. Nie były to związki określonych pojęć – raczej bezforemne obrazy, szkice i „obłomki” jakichś przyszłych koncepcji, znajdujących się w stanie załączkowym. Załączki te pełżyły koncentrycznie ku jakiemuś, na razie urojonemu centralnemu punktowi, co dawało pozory potencjalnej struktury całości, a niewykończoność systemu męczyła wprost okropnie – ale to strasznie. Tak by się chciało, aby tanim kosztem wszystko było takie doskonałe, uporządkowane, bez zarzutu – a tu nic: chaos, bezład, zamieszanie, kłótnia poszczególnych części między sobą, awantura. Na nic nie było czasu. O, gdyby tak móc żyć pięćset lat, lub ze trzydzieści razy „pod rząd”. Wtedy dałoby się coś nie coś zrobić, czegoś dokonać. (Na tle sflaczzonego tempa życia, „bieżałości”, klejkości „*milieu ambiant*” – wszystko zdawało się odbywać w beczce ze smołą – wielu u nas [i Kocmołuchowicz też] doznawało podobnych wrażeń). A tak – nie warto. „*Il faut prendre la vie gaiement ou se brûler la cervelle*” – tak mawiał, cytując Maupassanta, jeden z nieprzyjemniejszych

kawalerskich typów szkolnych, tak zwany „nieprzyjemniaczek”, naczelnik maneżu, porucznik Wołodyjowicz. Miało to dodawać ducha wychowankom. Genezyp czuł, że żyć będzie krótko – na czym opierał to przypuszczenie, sam nie wiedział, w każdym razie nie na groźniejszych wypadkach. Rok dwudziesty pierwszy wydawał mu się samą wiecznością – ale o tym później.

Szkolni przyjaciele byli bardzo nieciekawi. Jeden różowy „intuicyjny” chłopczyzna, o rok od Zypcia młodszy, był dość delikatny, ale za to głupawy. Drugi – pierwotnawo-mądry, trzydziestoletni chłop, był urzędnik bankowy, miał faktycznie wyższe intelektualne aspiracje, ale za to tak był nieprzyjemny w swych formach towarzyskich, że tamte zalety ginęły w nich jak małe brylanciki w olbrzymim śmietniku. Poza tym ćma pół-automatycznych, zaledwie zdających sobie sprawę z własnego istnienia, duchowych chudzielców. A wszystko to było złe, zazdrosne, pełne wzajemnej pogardy i napuszone, operujące w rozmowie ciągłymi przykrymi aluzjami i złośliwościami, na które nie wiadomo było jak reagować. Bo Zypcio złośliwym nie był i cierpiał na „*esprit d'escalier*” w formie ostrej. Nie reagował drugi raz, trzeci, czwarty, aż nagle robił awanturę o byle chamską poufałość i zrywał stosunki, co mu wyrabiało opinię „nadwrażliwego” psychopaty, jakim faktycznie był. „Zbyteczna wrażliwość” – myślał z goryczą. – „Dobrze, ale jest to wyrazem pewnej subtelności. Czemu na mnie nikt się nie skarży? Czyż ideałem naszym ma być chamstwo i niedelikatność?” Ale cóż pomóc mogły takie myśli? Trzeba było się izolować, bo „przypuść tu raz chama do konfidencji – zaraz ci na mordę wlizie”. A robić przykrości i peszyć ludzi Zypcio nie umiał wcale – był w ogóle dobry, po prostu **dobry** – co tu ciekawego można o tym powiedzieć.

O, wstrętny był ten przeciętny inteligent polski tych czasów! Lepszy już byli nawet wysokiej marki dranie, lub po prostu tłum (ale z daleka), w którego zwojach i skrętach czaiła się złowroga, bezlitosna przyszłość przeżytych warstw ludzkości. Całe społeczeństwo zepsute fałszywą, amerykańską „*prosperity*”, zdobytą za pieniądze ościennych i nieościennych pół-bolszewickich państw, tych hodowców „przedmurza”, – całe społeczeństwo (powiadam) było jak zepsuty jednak tuż przed stratą rodziców i pieniędzy, który dziwi się potem, że cały świat nie zajmuje się tym, aby on miał dziś obiad i nie może pojąć, że nikogo to nic nie obchodzi. Tak też było później.

Kocmołuchowicz, wyczerpawszy w swej manii produkowania oficerów całą prawie zbywającą poza urzędami inteligencję, sięgnął już porządnie w pół-inteligencję, a nawet domacywał się wprost do sfer najniższych, do tak cwanych „duchowych batiarów”, wybierając stamtąd co najęźszych psychicznie drabów, podobnie jak Fryderyk II swoich grenadierów. Genezyp, nie przyzwyczajony do sposobu bycia tego rodzaju indywiduów, nie mógł pogodzić się z istnieniem swych trzystu przeszło kolegów, którzy mieli prawo poufalić się z nim bez wszelkich ograniczeń. A na dnie czuł do siebie za to najsroźszą pogardę. Przecież był niczym i co gorsze nigdy kimś nie będzie. Nie dadzą: a) czasy, b) ludzie i c) brak czasu. Tęsknił do innych historycznych epok, nie zdając sobie sprawy, że tam byłby jeszcze gorszą może (choć kto wie?) ciurą, niż w tym okresie największej rewolucji świata – jedyne przewrotu istotnego: absolutnego ujednoczenia ludzkości w formach nieprzewidzianych w żadnej doktrynie przeszłości: nikt nie mógł przedtem wykoncypować tego, że potwór cywilizacji dojdzie do takich rozmiarów i że metody walki z nim nie mogą być wypracowane zawczasu. Niby robił to faszyzm, ale za dużo pokutowało w nim jeszcze dawnych nacjonalistycznych i indywidualistycznych pozostałości. Ograniczył się więc Zypcio do paru naiwnych masek wobec bezpośrednich swych dowódców, na szczęście ludzi niezbyt przenikliwych, a poza tym otorbił się o ile możności zupełnie. Dyscyplina utłaczała go powoli i systematycznie, ale tylko na powierzchni. Chwilami nawet był zadowolony, że tak od razu stał się tym niby-czymś w kręcącej się z coraz większą bezmyślnością machinie społecznej. W głębi rozszarpanych przez księżną i niezagojonych bebeczów puchła podświadoma żądza erotycznych przeżyć. Ale Genezyp postanowił „żyć w czystości”, aż póki nie nadejdzie prawdziwa miłość – pozornie banalne to powiedzeńko było najszlachetniejszą rzeczą, jaką ten nieszczęśliwy chłopak dotąd wymyślił. (Była to jednak „linia postępowania” niezależna, nie mająca nic wspólnego z całokształtem życia i jako taka bezwartościowa). Nie godził się na użycie żadnych antydotów, co było tym łatwiejsze, że, po dwóch

tygodniach obowiązkowej niewoli, zamknięto go znowu na tydzień aresztu, z powodu nagłego braku umiejętności w słaniu łożka i palenia w olbrzymim piecu szwadronowego lokalu. [Stary gmach pohieronimicki, czy też po-pneumatyczny, a dawniejszy pałac Herburtów, wciągał z rozkoszą wyziewy bardziej świeckie, ba – nawet wojskowe]. Nieściśliwe ciała byłych metafizycznych chwil, tamtych „przebudzeniowych”, ogólnie-nienasyleniowych, obłe, wyslizgujące się jak pestki, a jednak mięsisto-żywo-twarde, wymykały się wszelkiej analizie. A jednak czuł Genezyp w rzadkich i nikłych a krótkotrwałych jak daleka błyskawica letniego wieczoru jasnowidzeniach, że tam to właśnie kryło się przeznaczenie, tajemnica całości jego niepoznawalnego charakteru. Zawsze można powiedzieć, że właściwie co nas obchodzi taki to a taki głupniarz czy nawet główniarz – ale rzecz nie jest tak prosta, jak by się wydawała. Czekał wyroków od obcej potęgi w sobie, od tego swego „więźnia”, jak nazywać zaczął rządzącego wszystkim podświadomie nie sobowtóra nawet, a nieznanego osobiście, tylko z widzenia jakby, bardziej dorosłego niż on sam, pasażera w sobie. Ale jeszcze nie bał się go zupełnie – to miało nadejść trochę później. Na razie przelotny pasażer, czy więzień ów wewnętrzny, żył w sferze oderwanej, ale bliżej pojęciowo nieokreślonej. Jego myśli i przeczucia ledwo zaznaczone nie zahaczały się o ruchowe ośrodki Genezypowego ciała – nie miały jeszcze odpowiednich transmisji. To ciało, pod wpływem wojskowych ćwiczeń, rozwijało się po prostu bez przesady w coś nadzwyczajnego. (Zostawmy na boku wszelkie kawaleryjskie subtelności – kawaleria dla kawalerzystów). Nie był to troglodytyczny akt, jakich wiele spotyka się w sferze sportowych maniaków: kwadratowy w barach i suchy w biodrach i brzuchu. Raczej stanowiła ta kupa organów hermafrodytyczną syntezę pewnej kobiecości z męskością, ale wszystko razem doprowadzone do maksymalnej nieomal harmonii i niepozbanione pewnej bydlęcej potęgi. Smutnie i ze wstrętem nawet spoglądał czasem na swoje wspaniałe członki (onisuakimalipans) – czemu nikt nie używa tych bądź co bądź męskich wspaniałości, czemu ta cała kupa pierwszorzędnego mięsa więdnie bezużytecznie w tej kazarmie? Może wyjdą z tego młyna mocniejsze części – każda z osobna – a nawet jako materialna całość – ale rządzone przez zabiją (tylko skończone flaki giną w takich warunkach) w dalekiej od indywidualnego przeznaczenia bezdusznej dyscyplinie, duszę, niezdolne już do dźwigania żadnej wyższej marki jedności osobowości. Daleka, wspaniała, nieznaną nikomu, chyba jemu samemu w chwili powstawania, myśl takiego oto Kocmołuchowicza, ciążyła nad każdym osobistym **wewnętrznym** losem (pojęcie losu trzeba różniczkować), ugniatając osobowe istnienia według swoich nieoczekiwanych skrętów i załamów. Takie dziwne! – nieprawdaż? – tam, gdzieś w stolicy siedzi sobie przy zielonej lampie taki hocheksplodyw ludzki i nic nie wiedząc o tym (jako takim), każe żyć w zupełnie nieoczekiwany sposób jakiemuś, uwielbiającemu go z góry, na kredyt, młodzieńcowi, na którego zwraca się „oko opatrności” (choćby w powieściowych tematach), ukazując go znowu całemu społeczeństwu jako symbol. A tak, poza paroma przyjaciółmi i rodziną, pies o tym nie wie. Jak już społeczeństwo definitywnie obejmie nad sobą władzę (czy w jakim sownarkomie, czy programowo elitycznej radzie gospodarczej – to wszystko jedno), takie stosunki niewspółmiernych dusz będą niemożliwe – będzie nudno.

Po ukończonej karze zostawały jeszcze do święta trzy dni bez możliwości opuszczenia szkoły. Zaczynało być trochę ciężko: ból w skórze, jakby lekka gorączka, genitalia rozrżnięte i bebechy, przewalające się w swych czeluściach, ślepe potwory wysuszone wewnętrznym upałem. Życie błysnęło nagle, odległe, niedostępne i „urocze”, jak urocza może być tylko nieznaną kobietą.

Informacja: Kurs trwał 6 miesięcy, z czego przez 3, w czasie przebywania na oddziale młodszym, wolno było wydalać się z gmachu szkolnego jedynie raz na tydzień w niedzielę i to bez nocowania poza gmachem.

Spotkanie i jego skutki

Samotna myśl gotowała się w odległym od życia imbryku. Drobne duszki, niepozorne wysłanniki Wielkiego Złego, bez którego nie byłoby Istnienia w ogóle, nieznacznie preparowały piekielny dekolt, którym postanowiono, w podświadomych zaświatach i gdzieś jeszcze w dalekiej linii przodków, zatruć ten idealnie stworzony do innych warunków „organizm” młodego Kapena. Trudno.

Któregoś wieczoru, kończącego **metafizycznie powszedni** dzień, kiedy to w pospolitości właśnie widzi się najwyższą dziwność, gruntownie wyjałowiony, umysłowo wysterylizowany wojskowością Zypcio wezwany został do sali przyjęć. Już gdy dyżurny podchodził do niego, już wtedy wiedział, co to znaczy. Pękła tajemna tama, oddzielająca serce od niższych części brzucha. Sam ją, nieomal w tajemnicy przed sobą, budował, starając się zlekceważyć problemat tego związku. I bał się ciągle o jej całość. A tu pękła nagle, bo ten dureń Kwapek „zaczął” do niego podchodzić w sposób urzędowy. Okropne, nie wiadomo czemu, przecucie rzuciło sercem. Pokazała się amfilada dalekich przeznaczeń: wymuszone wypicie trucizny – do dna, do ostatniej kropelki i czarna, burzowa chmura milczkiem zwalająca się na okrwawiony mózg, sterczący niby bezludna wyspa na Południowym Oceanie, w bolesnej pustce życia. Ognisty język wyższej świadomości liźnęła lubieżnie obnażoną, obolałą od nieartykułowanych myśli mózgową korę. To, to, to – właśnie to: wytropiono jego myśli w kryjówce, zanim zdołały się opancerzyć. Powolna egzekucja rozpoczynała się właśnie 13 maja o trzy na siódmą. Pachniał mokry bez przez otwarte okna korytarza. Tłoczył się duszący płciowym smutkiem zapach, z ciężką wilgocią pół-deszczowego, ponuro-wiosennego wieczoru. Rozpacz straszliwa zalała go po szyję, bez ratunku. Już nigdy, nigdy, – dożywotnie więzienie w sobie samym. Te mury szkolne, te mury już były raz, kiedyś w innym życiu i gniotły go tak już od niepamięci, przez pamięć (wydrzeć to!) aż do bezpamięci, do nieskończonego powolnego roztopienia się w Nicości. Ale czekało po drodze małe piekiełko. „Czemuż mnie wszyscy zmuszacie, abym musiał zwariować” – szepnął ze łzami, idąc po znanych, twardych, „rycerskich”, „ostrogowych”, męskich schodach, które teraz zdawały się być zrobione z ciepłej gutaperki. Wiedział już, co to znaczy: los, w postaci niemieckiego kata z bajki, wybierał z dziecinnego pudła z prezentami jakieś figurki i stawiał mu na drodze życia. One nie żyły – to były świetnie zrobione automaty, udające do złudzenia tak zwanych „bliźnich”. (Batiarowaty starszy osobnik w dżokejce i chustce czerwonej na szyi, odślanającej niepachnącą, żylastą grdykę, z dużymi pręgami blizn po gruczołach). W to trzeba było pocałować i nadstawić drugi **policzek** – w pierwszy on już wyrzynał kiedyś. Nigdy, przenigdy! Nie kochał w tej chwili nikogo – nie wiedząc o tym, był praktycznym solipsystą. – Naprawdę dyżurny i cały świat były to tylko związki elementów Macha. Wszedł do poczekalni dla gości. Świadomie myślał, że to matka go tam czeka, z Lilian, z Michalskim – już raz tak było – **wiedział**, niższą częścią brzucha, że tam musi być jego najbezwstydniejsze przeznaczenie. Mówcie sobie, co chcecie, ale „erotyzm to **jest** piekielna rzecz – to nie można tego lekceważyć” – jak powiedział kiedyś pewien kompozytor. (Tylko nie można oddać tej jego intonacji głosu, tego przerażenia rozkoszą i tego wyrazu oczu, zażawionych ohydny, śmierdzącym urokiem). Ostatni raz wymknął się z diabelskiej równi pochyłej, wydobyty ręką ojca, wyrwał się z mrocznego „gapo”, które ciągnęło go od spodu za wszystkie mięśnie, ścięgna i nerwy. Ostatni raz ojciec podał mu rękę zza grobu. Od tej chwili wiedział Zypcio, że musi być sam, i wiedział też, że nie udźwignie (choćby miał nieludzkie nawet siły) swego losu na tamtej wyższej płaszczyźnie, wyrosłej ze środkowego kółeczka dziecinnego schematu metafizycznych przeżyć.

Na płciowym spodzie duszy zaległa już złowroga cisza śmiertelnego niepokoju i strachu. I tylko w myślowym kompartmentcie zobaczył nieswoimi, zupełnie nawet cudzymi oczami JA. Jakże piekielnie była ponętna. „Młoda dziewczynka – a to bestia! Ona nigdy nie przestanie... Boże – (ten martwy Bóg!) – Wybaw mnie od tego potwora!” – szepnął podchodząc do księżnej, która,

ubrana w szaro-niebieskawo-fioletową „sukienkę”, (tzw. „*bleu Kotzmoloukhowitch*” – modny dziś błękit, koloru wprowadzonych przez Generalnego Kwatermistrza mundurów) i czarno-granatowy kapelus, stała oparta o jeden z filarów sali. Nie było nikogo. Cisza straszliwa, głośna sobą w sobie, rozprzestrzeniła się w całym gmachu na tę chwilę. Wybiła siódma – daleko, na jakiejś miejskiej wieży, w świetle życia, szczęścia i wolności. Rozpacz tamta z metafizycznych wymiarów spełza chyłkiem (chyłek) na ziemię i zmieniała się w głuchy płciowy ból – tak to diabeł kusi pozorami niewymiernych wysokości, aby następnie wytarzać w błocie. Butla z lekarstwem stała tuż obok – tylko sięgnąć łapą samca, w rękawiczce „chłopięcej” delikatności i nieśmiałości. [A w tej samej chwili, tam, w stolicy całego kraju, „Wielki Kocmołuch”, jak go nazywano, upapwany po łokcie augiaszowym zaiste dookolnym świństwem, które starał się zmyć ze swego kraju choćby kosztem powiedzmy diabli wiedzą czego, odczytywał raport pewnego Chińczyka, który stał przed nim zgięty we dwoje, jak człowiek skazany na ścięcie. Kocmołuchowicz rzekł: „Czy można wiedzieć, co on myśli?” Odpowiedział Chińczyk, mandaryn drugiej klasy, człowiek bez wieku: „Jego Jedyność jest absolutnie nieodgadniony. Wiemy tylko, że to jest myśl najwyższa, wszechludzka. Załatwi to, czego nie załatwicie wy, choćbyście zwołali radę największych mędrców całego waszego świata. Wasza wiedza przerosła wielkość waszych dusz. Jesteście w mocy maszyny, która się wam wymknęła z rąk i rośnie, jak żywy stwór, żyjący swoim, samoistnym życiem i zjeść was musi. Próbowali odgadnąć myśl Jego kapłani wymierających kultów – za pomocą trucizn i potęgi narzuconej woli. Dojrzał ich z oddali i zginęli wszyscy – ścięto im głowy, a winy podsunęto inne”. – Kwatermistrz drgnął i nagle skoczył do nahaja, wiszącego na ścianie. Chińczyk zwiął jakimś cudem, poprzez dwa pokoje, pełne adiutantów. A ten zastygł z nahajem w rękę na środku pokoju i zamyślił się głęboko po sam pępek. Jażń jego zetknęła się z całością bytu w skurczu niewymownym, a potem z nędznym robaczkiem, z ludzkością całą. Zapłakał do środka i pocisnął guzik dzwonka, na krzywych nogach podszedłszy do zielonego stołu z paperasami. Wszedł adiutant...] Tę scenę widział Genezyp, patrząc w twarz swego wcielonego losu – może to była prawdziwa telepatia, bo rzeczywiście działo się to właśnie o 7'13 w gabinecie wszechwładnego „Kwatermajstra”.

Informacja: Ale co to jest równoczesność i rzeczywistość? Ani fizyka, ani filozofia nie odpowiedzą nigdy (według niektórych) po wsze (wszawe?) czasy na te pytania, jak i na wiele innych. A co do telepatii, ta jest możliwa, jakkolwiek wytłomaczenie jej (czyli objaśnienie mechanistyczne) może tylko polegać na tym, że **nie będziemy przekraczać poglądu fizycznego** i będziemy szukać nieznanych dotąd sposobów przenoszenia się energii wytwarzającej się w mózгах przy pewnych procesach i mogącej oddziaływać na inne mózgi, wywołując w nich pewne procesy. Ale tu znowu zaczyna się psychologia – możemy skonstatować pewne związki między niewspółmiernymi sferami – więcej nic. To samo stosuje się nie tylko do odgadywania myśli, ale do widzenia czy słyszenia na odległości nienormalne i z przeszkodami, o ile taka rzecz w ogóle zająć może. Ale gadania o „materializacji myśli” (!?) są tak bezsensowne, jak np. teoria kalafioryzacji lokomotyw, a nawet więcej. To samo też stosuje się do wszystkich tak zwanych „zjawisk nadnaturalnych”. Wszystkie rozwiązania dowolne, kursujące dziś między publicznością, polegają na nieznanomości psychologizmu (kierunku filozoficznego – nie psychologii jako nauki) i stosunku jego do poglądu fizycznego, który jest statystycznym i przybliżonym i daje się w terminach pierwszego wyrazić.

– Tak bardzo tęskniłam za tobą – (przez wielkie T) – nie gniewasz się, że przyszłam. – Szept spłynął najbardziej płciową drogą przez górną połowę ciała aż tam. – Musiałabym i tak przyjechać, ale naprawdę to tylko do ciebie. Ty jesteś już dorosłym – musisz wiedzieć dlaczego, ach dlaczego musiałam tak postąpić. Nie umiesz ocenić mnie teraz. Zrozumiesz wtedy, co ci dałam, kiedy mnie już może nie będzie, kiedy przeze mnie właśnie nie skrzywdzisz tej drugiej, czy trzeciej, którą będziesz

kochał naprawdę – będzie ci się tak wydawać. Jednak kochałeś i kochasz tylko mnie – może na zawsze – nie wiem o tym. Nie gniewasz się? – Jak pokorna suka wygięła się i spojrzenie błękitne, „niebiańskie”, rozlane, wylupione z jądra, rozbebeszone, niechlujne, oddane aż do samego rdzenia istoty (tu gdzieś koło nerek i głębiej i z tej strony nawet) zatopiła jak ostry szpon w jego twardych oczach. Pocisk trafił, pękł, pozabijał (tylko myśli) i zniszczył jak papierową zabawkę kunsztownie, dziecinnie wykombinowaną redutę czy przyczółek mostowy. Przez wyrwę tłoczyły się długo więzione żądze, dzikie, spocone, śmierzzące, rozjuszone – na niektórych brzęczały jeszcze łańcuchy, szły jak żelazne robactwo, na zdobycie duszy. Nad nimi rozpiął się błękitny parasolik, udający prawdziwe niebo – czysta, wielka miłość. Kochał ją teraz bez miary, tę biedną, starowatą dziewczynkę – jak nikogo dotąd. Nagle wszechświat rozświetlił się od spodu łuną wschodzącego szczęścia – oddalone, tęskniące za sobą w męce przestrzenie (połacie, tereny?) ducha złączyły się we wściekłym, palącym uścisku. Jeszcze czegoś tak piekielnie, wysublimowane zmysłowe nie przeżył Zypcio nigdy – nawet (!) wtedy, gdy wlepiony gałami w szybę łazienkowego okna, dokonał tamtego niemrawego i gnuśnego czynu nad sobą – raczej nie: nad tym świeżo w sobie odkrytym, trochę w tej chwili plugawym gościem. Krwawa, lepka mgła oplotła i przeniknęła zwiotczałe w niezmiernym pożądaniu ciało. A przecież jeszcze nic nie drgnęło i nie podniósł się ani na włos wielki przeciwnik ducha, samotny, głupi, wszechwładny w cielesnych walkach ON. Gdzie była właściwie ta oczekiwana żądza, czyli właściwie chuć? Unicestwiwszy ciało, objęła śmiertelnym uściskiem świat cały aż w nieskończoność. Kochał tę babę zupełnie na czysto, jak za najlepszych czasów, jak nigdy jeszcze nie kochał matki, ani siostry, ani nawet ojca. Takie to czyste było to uczucie... Aż śmieszne po prostu. „*Il fornicatore*” przemówił wreszcie, przez zalepione lubieżną papką gardło:

– Gniewać się, to mało. Ja nienawidzę pani i nigdy już... Zamknęła mu twarz, wszechwiedzącą nagą ręką – (szybko, na jedną czwartą minuty przedtem, zdjęła rękawiczkę, wiedząc, że wykona taki właśnie ruch). Odepchnął tę rękę brutalnie, ale wspomnienie ciepła i zapachu zostało: nieśmiertelne gencjany Fontassiniego trwały, mimo że świat przewrócił się do góry nogami: – Nie chcę – rozumie pani? Za co? Dlaczego? Coś tak potwornego! I ja tak panią kochałem!! – Kłamał bezczelnie nie wiadomo po co – to znaczy kłamał świadomie, – w istocie było to prawdą, w tej chwili prawdą się stało – a zresztą czort wie – nikt tego nie pojmie jak jest, a tym bardziej jak było, nawet ci, którzy i tak dalej... – Mam wstręt do pani, jak do ropuchy – brzydzę się sobą, jak o pani myślę... – Chwyliła go za rękę mocno, aż do bólu – baba była silna.

– Nie – dopiero teraz kochać mnie będziesz. Ale już jest za późno na to, co było przedtem. – Patrzyła mu prosto w mordę rozkochanymi, płomiennymi „oczyma”. Obłąd był w tym spojrzeniu – dla dodania sobie odwagi i uroku księżna kropnęła „empedekoko” – jak mówiła. Czyniła to rzadko, w najważniejszych momentach życia. – Możemy się widywać – mówiła dalej głosem nieprzywoitszym od rozwalonych bioder, od bosych nóg, od ust całujących diabli wiedzą już co – ale nigdy twoją już nie byłabym, nawet jeśli byś o to błagał. – To ostatnie słowo było szczytem sztuki: ujrzał Zypcio siebie na kolanach przed nią – ona z gołymi do kolan zarzuconymi jedna na drugą nogami, dotykająca mu nosa prawie prześlicznymi, spedikiowanymi palcami, o różowych paznokciach. Szpon **burczerwonego** nieszczęścia zatopił mu się we wnętrzości, a żądza ponura jak śmierć w torturach w wiosenne popołudnie, moręgowata, czarno-złota, diabelska tęsknota za wymykającym się na wieki szczęściem, przywaliła trumiennym, całuniastym wiekiem **złoto-czerwona**, tylko co rozkwitła w pożarze ciała przyszłość. Rozpacz oblepiła lubieżną aż do bólu mgłą narządy płciowe – teraz nie symbole potęgi, a wstrętne flaki ze zbitymi pogardą mordami, pogardą, okazaną im przez **tamto**. Co za bezczelność! Nie rozumiał nic – był przecież bądź co bądź mężczyzną. I, właśnie dlatego, że nie rozumiał, postąpił tak, jak trzeba. Ha – musi ze wstrętem zdobyć po raz wtóry to dymiące duchowymi zbrodniami bagnisko – a mógł już pokochać na nowo – tak mu się zdawało – jej – nie. Zamachnął się i uderzył w biały kark pięścią naiwną i niewprawną. Poprawił z drugiej strony, chwytając jednocześnie instynktownie lewą ręką za wspaniałą kapelusza od Hersego (Firma „Herse” przeżyła wszystkie dotychczasowe kataklizmy). A ona zachłysnęła się z rozkoszy... (on rwał już jej

włosy i walił, walił – co za cud! – więc ją kocha? —) Ale za ledwie się rozpędził i uczył już falę żądz, zstępującą z krzyżów w lędźwie i pośladki, wyrwała mu się, a na załomie schodów (drzwi nie zamknął w zdumieniu) w drodze łaski „dały się słyszeć” kroki. Podniósł szybko porzucony kapelusz i wpakował jej brutalnie na głowę. Taka cudowna chwila i – zmarnowana, psia-krew! Przez kogo? Nie przez tego, co tam siedł po schodach – daleko głębiej: przez ojca, który Zypcia tu wsadził i w dodatku był kochankiem tego cielska, tego jego „ideała”, kiedy ono, to cielsko (wcale nie za tłuste zresztą) promieniało jeszcze młodością (no tak ze 28 lat) – a on dostał już ochłap jakiś i tego ochłapu nie może pokonać i zgębić i musi go jeszcze **zdobywać**!! Ach – co za wstyd i rozpacz! Zateśknił aż do furii za jakąś czystą, panienkowatą miłością. I wspomniawszy Elizę, tę trochę zahukaną, dobrą istotę (raczej stworzonko jakieś) z pierwszego wieczoru u księżnej. Rozdarta dusza stanęła dęba, a jednocześnie gorzko zapłakała nad „przydzielonym” jej, bezwolnym ciałem. Darł się w pasy w męce godnej doprawdy lepszej sprawy. Ale co on właściwie mógł o tym wiedzieć? Na czym mógł oprzeć skalę swoich porównań? Żeby choć tak wierzyć, jak ten szczęśliwy Bazyli, mleć swoje ukochane znaczki, jak Benz, a choćby takiego potwora, jak muzyka Tengiera! Nie – życie samo w sobie. „Nie dać się zwyciężyć, nawet samemu sobie” – przypomniało mu się zdanie Putrycydesa. Ten, mimo całej popolitości życia, walczył, zmagał się z czymś – jeśli nie po prostu wielkim, to olbrzymim. A on? Ta oto mała przeklęta, za której ciała dotknięcie jedno sprzedałby teraz cały kramik napompowanych mu przez ojca „idealizmów” [siły, honoru, uczciwości i tym podobnych mamideł (raczej papideł)] – ta belzebubica była jedynym symbolem rzeczy, jeśli nie najwyższych, to najsilniejszych. Poczul przeraźliwą wydrażoną pustkę tego, na czym stał i o co się opierał. Musi zbudować nową płytę podstawową z jakiegoś psychicznego żelazo-betonu, bo inaczej byle co i kto wytrąci go z równowagi. A materiału tego pod ręką nie było – trzeba byłoby eksploatować kopalnie w dalekich, utraconych już krajach metafizycznej dziwności, na nowo je zdobywać. Kiedy? Nie było czasu. Życie parło, jak gaz w brzuchu, zmuszając do rzeczy nieprzystojnych. A parę jeszcze takich wytrąceń i znajdzie się na dnie istnienia: plugawa, miękka masa, bez ambicji, bez szkieletu, bez jąder – bezpłciowa, bezhonorowa – brrr... Wstręt i strach ocaliły go. Skonsolidował się – ale po to tylko, aby dookólną drogą dopełnić nieuniknionego przeznaczenia. Bo gdybyż naprawdę kochał ją! Ale właśnie naprawdę nienawidził (cztery warstwy – któraż z nich była prawdziwa w tym przekładańcu? – o szczęśliwi wago-tonicy, co nie macie tych problemów) i w kłamstwie tym była małość. Jeszcze jedna wolta i stał się dobrym. Ale taką dość parszywą dobrocią, płynącą ze słabości i strachu przed cierpieniem. Po schodach siedł dyżurny oficer, jego „wróg”, młody, brutalny obrzydłaczek, chamskawy poruczniczek z poprzedniego kursu, Wołodyjowicz.

– Przyjęcie skończone – wygłosił sztucznie dystygowanie. – Junkier Kapen do szwadronu na miejsce. Pani pozwoli odprowadzić się do bramy. Miałem przyjemność być przedstawionym kiedyś w teatrze – galówka na cześć wodza...

– To dość mało – rzekła wyniośle, bezsensownie księżna. Ale zawinął się dookoła niej z tą samczą zapobiegliwością, którą tak lubią baby i uwłókł ją za sobą. Rzuciła Zypciowi, zza ramion tamtego, spojrzenie łzawe i palące, piekące i swędzące, w którym było wszystko i nic – poczuł się jak na bezludnej wyspie, opuszczony przez wszystkich – ona tylko istniała (księżna, nie wyspa) – dopięła swego: pięta, pięta, aż dopięła bestia. Ach, stokroć łatwiej byłoby mu walczyć z nią, gdyby na niego nałaziła, narzucała się mu, napychała – ale tak? Poczul, że hak głęboko tkwi mu w zgęstniałej krwi. Cały, razem ze środkowym kółkiem, przechylił się na stronę złych potęg, królujących w tej podświadomej części jego istoty, której bał się zawsze, prawie zabobonnie. Wychylił się nad przepaścią odrobinę zanadto – czy zdoła wciągnąć się na nowo. Rozszarpany zupełnie siedł marmurowymi schodami w górę. Schodził tu przed kwadranssem jako ktoś zupełnie inny. Nie poznał siebie w czarnym lustrze niewiadomego, w którym przeglądały się przesuwające się sobowtóry. Gwar miasta, który buchnął przez otwarte okno korytarza wraz z czarnym upałem majowej nocy i zapachem mokrych bzów, odczuł jako wstydlivy ból pokonanych genitalii, obrzmiałych i nieznośnie rozdrażnionych. Musiał o tej niewygodnej godzinie rozpocząć definitywny bój. Zakrył się wołą, jak

wiekem trumny. Umierał i odradzał się co sekundę na nową mękę i wstyd. A tamte flaki ciągle żyły swoim osobistym, prywatnym, niezależnym życiem i puchły, i puchły w dziwnie jakiś nieprzyjemny sposób i to nawet wtedy, gdy z nieprzejednaną zawziętością najbardziej właśnie niszczył obrazy dawnej i możliwej rozpusty. Pod szarym kocem, w smrodliwej atmosferze szwadronu (któż u nas mył się, z małymi wyjątkami, nawet w te czasy, porządnie?), spocony, samotny, ze swędzącą skórą i innymi okropnymi objawy, junkier Kapen zdobywał, najeżony zionącymi trującym gazem kiszkami, barbakan ducha.

A księżna zaraz za węglem gmachu (przyszła piechotą) zawyla głośno okropnym samiczym szlochom (zaszłochała wyjem), w przepaloną gęstość czarnej majowej nocy, takiej, w której lęgnie się wszelka lubież i złe płciowe świństwo. (Pocieszał ją obrzydławy porucznik, jak mógł). Tylko ten jeden został jej chłopyś na świecie i tego nie mogła zdobyć – Kapen oczywiście, a nie ten pocieszyciel. Była nieciekawa, prostolinijna i prosto-uczuciowa. – Co tu o niej pisać – demonizmy wszystkie diabli wzięli. Trzeba było jednak czekać 3 dni do niedzieli. A on tymczasem stężeje, zmężnieje, rozdrażni się aż do kości (czuła ten swój jad przewalający się w przyspieszonym pulsie po jego gęstniejącej krwi) i będzie taki cudny, taki cudny, że „chyba ja się wścieknę, gdy on – ach, nie – to niemożliwe” – „i jaki śliczny był w tym mundurze! Tylko nie taki czysty zdaje się...”, „Ale on może być nawet brudny, może nawet śmierdzieć – (umyślnie półgłosem powtórzyła to straszne słowo) – i ja te jego smrodki kocham” – zakończyła bezwstydnie, wyzywająco. Kobiety są czasami niemożliwe. Czowała całe niebezpieczeństwo takiego poddania się, ale nie mogła wytrzymać – jeszcze raz, jeszcze raz, a potem niech już stanie się ta rozpacz zupełna: oszroniona zagwazdraną przeszłością jesień szarej, beznadziejnej starości.

Informacja: A tam w Ludzimierzu Putrycydes Tengier nie wytrzymał też w swoim rodzaju i zrobił kompromis – (dotąd unikał starannie wszelkich pół-środków np. grania po bajzlach, lekcji śpiewu w szkółkach, poprawiania utworów tzw. „reiner Finger – muzykantów” itp.): przyjął wyrobioną mu przez Sturfana Abnola posadę muzycznego kierownika: pianisty i kompozytora w dziwnym teatryku Kwintofrona Wieczorowicza. Miał „okraszać” muzyką jak kluski słoniną straszliwe „wpróżdniewiedziałki”, „cobędzietobędki”, „znienacki” i „niepewnostki” (broń Boże nie niespodzianki – to słowo, zużyte jak ścierka, zabronione było u Kwintofrona), od których już dziwne wrzenie powstawało z wolna nawet wśród zdziesiątkowanej „wojenną” służbą inte- i pół-inteligencji. Ta ostatnia, na Zachodzie i Wschodzie wymarła prawie warstwa, u nas znajdowała się w tych latach w pełni rozkwitu. Towarzystwa rojiły się wprost od indywidualów, rozstrzygających najzawilsze problemy przy pomocy iście pacanowskich czy kocmyrzowskich systemów pojęć – prawdziwi mędrcy milczeli smutnie, nie chcąc wdawać się z taką hołotą. O przekonaniu kogoś takiego o czymś mowy być nie mogło. Trzygroszowe objaśnienia zastępowały zupełnie wypieraną poza obręb społeczeństwa intelektualną pracę. Na kompromis Tengiera wpłynęła też tak zwana żądza życia, czyli po prostu chęć zmienienia za jaką bądź cenę kobiecego „menu”. Motyw nienasylenia zanadto już często zaczynał się powtarzać w jego ostatnich hypermuzykaliach. Zrzucił któregoś dnia maskę półwiejskiej pokraki i wyświeżony na potwornego degenerata i zmałpiałego geniusza, pomknął wraz z całą rodziną węgierskim ekspresem do stolicy K. Pani Tengierowa miała w tym też swoje planiki, które kryła szczelnie pod maską troski o wychowanie dzieci w bardziej odpowiednich warunkach. Wszystko składało się jak najlepiej, ale na małą skalę. Program maksymalistyczny musiał być zarzucony.

Repetycja

Nareszcie nadszedł dzień pierwszego wyjścia ze szkoły. Zdawało się, że dyscyplina, terror i to, co Genezyp nazywał „karnością” (ale nie w znaczeniu dyscyplinowym, tylko sądowym – „wdrozenie dochodzenia karnego” – brrr...) rosą z godziny na godzinę. O lada głupstwo mógł całkiem niewinny człowiek wpaść w tarapaty, które w razie lekkiego choćby nieopanowania delikwenta mogły znowu skończyć się w sądzie wojskowym, a dalej diabli wiedzą gdzie. Tortury – oto było pojęcie, od którego ledwo zaznaczonego obrazowego cienia bledli do ścianowo-prześcieradłowo-chustowych odcieni najwięksi dotąd śmiałkowie. Odpowiedzialność, na modłę chińską zhierarchizowana, zwała się na bezpośrednich zwierzchników i dalej, dalej aż do drzwi czarno-zielonego gabinetu Wielkiego Mistrza Niepewnej Przyszłości – tu był jej kres. Nad nim był już tylko wyblakły ze starości Bóg, (a może też błąd z przerażenia, jak mówili inni), albo Murti Bing – o tym nie śmiano nawet szeptać.

Wścikiły skutek nieznośnego oczekiwania i jak na niego niezwyklej beczynności, (18 godzin pracy na dobę – nawet i on się przeczekał), nie wiedząc, co zrobić ze sobą i z armią, rozprzestrzeniał swoją zduszoną wypadkami – raczej brakiem ich – indywidualność w sferze wojennego szkolnictwa. Tam to kuł potęgę, która zaczynała wyginać się i wypuczać poza granice poprzednio pozakładanych ramek negatywnego czysto stanowiska: izolacji i ochrony „*statut excrementali*”, jak nazywano aktualny stan rzeczy tj. rządy Syndykatu i zakłamywany pseudo-faszyzm. Natężony do ostatnich granic gmach wewnętrznej, duchowej konstrukcji kraju drżał od napięcia sił i trzeszczał złowrogo, ale trwał. Gdzie jednak było dokładnie to napięcie – nikt pojąć nie mógł, bo jednoczesny bezwład ludzi wzbudzał podziw nawet u zagranicznych gości – oczywiście tych stałych, dawnego typu. „*Das ist nur in Polen möglich*” – mawiał stary feldmarszałek graf Buxenhayn (ostatni z młodszych kolegów Hindenburga), który też znalazł oczywiście twoje miejsce w tradycyjnie gościnnym „Przedmurzu”.

I takie nędzne kółeczko, taka amoeba jak Genezyp, nie mogła przeżyć swobodnie najgłębszych, najtajniejszych stanów i uczuć, tych właśnie rzeczy, dla których ostatecznie warto żyć, z pewnego punktu widzenia – niewspółmiernego oczywiście z poczuciem rzeczywistości większości ludzkich bydląt [to mało, to właściwie komplement] w „sukienkach” (ach ty droga!), sweterkach i smokingach. Musiał być, w najsubtelniejszych nawet drgnieniach swej istoty, tam gdzie tkwi jądro sensu niczym nieuwarunkowanego istnienia, marną funkcją wielkiej (pożal się Boże! komu?) (może nawet aktualnie nieistniejącej??) koncepcji jakiegoś tam Kocmołuchowicza, który, za cenę władzy i działania, stracić musiał z konieczności ten wymiar istotności, będący udziałem jedynie czystych kontemplatorów i to w dodatku dostatecznie „zsofistykowanych”. Ale tamta „koncepcja” (o której nikt zresztą nie wiedział i sam jej przyszły twórca też) była bądź co bądź także wynikiem jakichś międzykomórkowych nierównowag w tym pięknym, włochatym, **czarnym mimo białości** i sprężystym jak byczy surowiec i jego własna wola, cielsku generalnego kwatermistrza. To cielsko chciało się wyżyć do końca, razem ze zbitym z nim w jedną nierozzerwalną kupę drapieżnym, nienasyconym (powiedzmy otwarcie), brudnym w swej potędze duchem. I tak oto po prostu, niewolniczo, gnuśnie, ze zsumowanych przypadkowo osobistych bezsensów, tworzyła się tak zwana historia. Bo „historia naprzód, czy na wspak, to chyba największa z błag” – jak mówi poeta. Za paręset lat nie będzie już mózgu zdolnego scałkować narastającą komplikację. Tysiąc rzutów nie da pojęcia o jednej chwili tej najdziwniejszej z epok. Najdziwniejszej, ale dla kogoś z innej planety – nie dla nas już niestety. Ponad tym unosi się tylko zasada Wielkich Liczb, ostatnia instancja wszechświatowej konieczności tak w fizyce, jak i (trochę inaczej) w dziejach żywych stworzeń – biuro statystyczne jako kryterium Prawdy – do tegośmy dopełzli. I nikt nie widział (i nie zobaczy) całej potwornej „zdumiewającości” tworzenia się czasów i samego w nich trwania, bo o ile życie prywatne było wtedy dość już oddziwnione, to dzieje przedstawiały po prostu ucieleśnioną samą pospolitość. I nie w tym była rzecz, żeby rzeczywistość naprawdę była pospolita – fakty same w sobie dziwne, ciekawe np. dla Ludwika XIV lub Cezara, rosły jak astralne grzyby po jakimś

metafizycznym deszczu, ale nikt tego nie widział. A cóż jest warte cokolwiek, co istnieć może, jeśli tego nikt nie widzi? Nic. Chyba że ciekawym jest Istnienie Poszczególne samo w sobie, czyli jakieś jedno jedyne dla siebie „ja”. Ale w **nich** nieciekawie odbijały się świat nawet dla jakiegoś idealnego nad-observatora, o ile by takowy istniał. Zabawna była całość, zablągowana, nieodgadniona. Przepaści otwierały się nie tam, gdzie ich oczekiwano: doskonałość społeczna niosła w sobie jad, będący integralną jej częścią: nad-komplikację, przerastającą siły indywiduum. Nikły głos uproszczycieli konał w gąszczu bezosobowej zawilgości – jałową pustynię stwarzały: mnogość i bogactwo (pozorne) – tak jakby ktoś na trzechcentymetrowej miniaturze zechciał wyrysować wszystkie pory skóry, wągry i pryszczki – muszą wtedy z konieczności zatracić się rysy twarzy i podobieństwo. Ludzkość traciła swe oblicze, przez uwzględnienie najdrobniejszych jego elementów. Beztwarzowa, zamazana jedność wschodnia na krańcach historii, jak ponury, czerwony, jesienny księżyc, oświetlający pobojowisko po bezcelowej walce. Straszliwe, metafizyczne prawo ograniczenia pokazało spoza nieogarnionych pozornie horyzontów swoje nieprzebyte bariery i rogatki. Spiętrzona fala tak zwanego „rozwoju” i „postępu” kłębiła się bezsilnie u stóp przeszkody nie-do-zdobycia, którą jest – w całym nieskończonym Istnieniu, a nie tylko u nas w Polsce i na ziemi w ogóle —: niemożność przekroczenia pewnego stopnia komplikacji bez utknięcia w bezwyjściowym chaosie: niewspółmierność społecznego elementu z całością, którą wielość ich tworzy. Chyba cofnąć się. – Ale jak?

Już ubierając się wiedział Zypcio, że wstąpi tylko do domu, a potem ordynarnie „poleci” natychmiast do „Palazzo Ticonderoga” na ulicy Granicznej. Naturalnie nie w celach erotycznych (to było oczywiście wykluczone – gdzieżby! **taka hańba!**), tylko w celu esencjonalnych wyjaśnień dotyczących stosunków duchowych, wyjaśnień, które nastąpiłyby bezsprzecznie, gdyby nie przerwał ich wtedy brutalnie dyżurny oficer. To połączenie wojskowości z erotyką, ta militarna bezwzględność i mundurowo-sprzączkowo-paskowa dokładność i twardość, zastosowana do rzeczy psychicznie tak subtelnym, a fizycznie tak śliskich i miękkich, miała dla Genezypa specjalny urok. Ostrość i brzęk ostróg zdawały się wrzynać (z młodym okrucieństwem pierwsza, z rozpacz wzbudzającą beztruską drugi) w pragnące bebechy wszystkich bab świata. Co tam ta jedna głupia księżna! Miał je wszystkie pod sobą jak jakieś ujeżdżone na śmierć klacze, suki pokornie pełzające, smutnie łaszące się kotki. Czuł wyraźnie „nieczłowieczość” kobiet. (Matki stanowiły niby wyjątek. Ale ta sprawa była niewyraźna – chyba wziąć pod uwagę czas od chwili urodzenia dziecka). Życie roztaczało się zachęcającym skretem, kusząc oszalałą, piniącą się młodość – mnogością przyszłych barw nieznanym i skrytością diabelskich niespodzianek urągało czającym się w śpiących jeszcze zwojach mózgu zimnym rachmistrzom: obłądowi i śmierci. Spuścił się Zypcio ze smyczy w bezkresną pozornie dal nieodgadnionego wieczoru. A do tego nie mógł bądź co bądź w ten sposób zakończyć stosunku z osobą, która dała mu odczuć bądź co bądź po raz pierwszy jedyną bądź co bądź w swoim rodzaju groźbę rzeczy płciowych i była bądź co bądź „kimś”, a nie pierwszą lepszą dziewczynką, o których to stworzeniach w ogóle pojęcia nie miał. Tak okłamywał siebie, prawie nie wierząc w tej chwili w rzeczywistą egzystencję przedmiotu tych rozmyślań. Ale mimo to tak był przepracowany, zmacerowany dyscypliną i gruczołowo wyjałowiony, że ujrawszy pierwszą kobietę na ulicy zdumiał się niepomiarowo: „co też to jest za stworzenie?!” – pomyślało w nim błyskawicznie umęczone bydlę. I już w następnym ułamku sekundy uświadomił sobie fakt istnienia kobiet w ogóle – „dobrze jest – jeszcze nie wszystko stracone”. – Jednak świat bez „tego” byłby pustynią nie-do-przebrnięcia. I zaraz potem cała nędza tej „konceptji” i odwartościowanie wszystkich „oderwanych” (od czego?) męskich spraw. Mignęły mu się, w muskularnej raczej, niż wzrokowej, wyobraźni: matka i księżna, splecione w jakimś świętokradczym kołowrotku, czy karuzeli zwierzęcych nieprzyzwoitości. Po raz pierwszy dopiero w tym połączeniu odczuł naprawdę pogardę dla matki jako dla kobiety. Jednakże wolałby, żeby całej tej brudnej historii z Michalskim nie było wcale – och – „wolałby gorąco”, aby matka wcale kobietą nie była, tylko czystym duchem, zaklętym w jakąś maszynę do rodzenia dzieci. Niepokalane poczęcie to jednak cudowna rzecz! W ogóle to słusznie tak nazwane „kalanie” to jest

przecie piekielny wprost wymysł. Żeby w tym umieścić motor trwania gatunku i najwznieślijszej twórczości, trzeba być złośliwcem bez sumienia. Ale trudno: ostatnie usprawiedliwienie znajdowało wszystko w tym, że kończył się oto dawny świat właśnie w tym zaprzałym we własnym sosie kraiku, a nie wiadomo było, jakie formy mogło przybrać istnienie po tym skrycie oczekiwanym końcu. Nadzieja wszystkich zawiedzionych, nedorobionych, niedopieczonych, niedogotowanych, psychicznych „*siemimiesiãczników*” – a tych był legion. Nawet konserwatyści (w miarę religijni i w miarę demokratyczni) czekali końca, żeby móc choć powiedzieć: „a co? nie mówiliśmy...??”

W domu nie zastał Zypcio nikogo. Był zły. Tak się napompował na to pokazanie się Lilianie i matce w nowym galowym mundurze ostatnich polskich junkrów. A do tego kartka, że te damy są na podwieczorku u księżnej i tam go oczekują. A wstyd! A z drugiej strony może tak było lepiej, że on nie idzie tam z własnej woli, tylko jakby z musu, żeby nie wydać się ze wszystkim przed matką. Takie zagwazdrane, dziecinne, wprost pieluchami śmierdzące problemy, splecione w jedną „girlandę” z ornamentami najdziwniejszej chwili życia: początkiem bycia „kims”, usymbolizowanym w granatowym z żółtymi rabatami mundurku. Przerażony był po prostu przepychem „palazzo Ticonderoga”. Forteca jakaś (znał ją jeszcze z niedawnego dzieciństwa) zmieniona od wewnątrz w „edredonowy, mandrylowo nieprzyzwoity dytyramb” na cześć rozpulchnionych ciał i dusz zropiałych w rozkładzie – inaczej nie da się to wyrazić. Zestawienie twardych bastionów z lubieżną miękkością wnętrza, działało już na schodach rozwalniająco-płciowo. Ich dawny „pałac” w stolicy, który zwiedzał tylko kiedyś za dawnych czasów, wydał mu się nędzną budą w porównaniu z tym gniazdem rozkosznie konającej nieprawości i wiekowych znęcań się nad ludzkim bydłem. To doprowadziło go do wściekłości. Widocznie młoda, dorobkiewiczowska krew Kapenów wzburzyła się i sfermentowała, **zboldszewiczała** nagle na tle nędzy, w zetknięciu z symbolem dawnych, odwiecznych, ginących teraz pra-potęg. Cóż z tego, że matka była z domu – a niech ją – bezwstydnym worek, pełen chamskich wydzielin tego „pana Józefa” – niech go „do trumny przez lejek wliwają!” Nie czuł nic ohydy tych snobistyczno-blasfemicznych myśli-gówien – za chwilę dopiero miał się wahać w przeciwną stronę.

Tym nieznośniejsze były mu w tej chwili obowiązkowe zachwyty nad jego pięknnością i mundurem: duma promieniejąca bezwstydnie w oczach matki i zdziwiony wzroczek Lilian („to jednak taki morowy jest ten Zypcio!”) i dobrotliwy, smutny i trochę ironiczny uśmiezek tamtych warg wszystko umięających. W domu całkiem inaczej wypadłyby te oględziny. Tu był nędznym dzieciakiem. Resztki kontenansu diabli wzięli. Czuł się nie wiadomo czemu brudnym, choć wyszorowany był (szczotką (Sennebalta (Bielsko)) jak rondel w luksusowej kuchni. Ujrzał jak na patelni całą śmieszność walki z **czymś** tak potężnym, zmiennym, władającym górami całymi niezbadanych środków unicestwiania, jak księżna. Jedno lubieżne młaśnięcie wszechmocnego ozora i widział siebie zmienionego w oszalałe zwierzątko, miotające się we wstrętym, upokarzającym, bezwolnym, wahadlowym ruchu – jedno pogardliwe skrzywienie tych jadowitych mandybułów i mógł pograć się w beznadziejny, żalony smutek płakawego wyjca, jakiegoś śmietnikowego „trubadura” (czyż jest coś obrzydliwszego jak trubadur?) czy onanistycznej małpy na łańcuszku! Teraz dopiero, na tle „umundurowania” (które tylko co było takim szczęściem) i nędzy swego stanowiska, księżna wydała mu się nareszcie prawdziwie wielką jakąś – a! czort wie kim – wielkim zjawiskiem po prostu, jak wojna, burza, wybuch wulkanu, trąba morska czy trzęsienie ziemi – była nawet bezpłciowa w tej wielkości. (Zahamowana erupcja seksualna uderzyła na mózg – w księżnej umieszczał teraz Genezyp negatywny ekwiwalent swego „*Minderwertigkeitsgefühl*”). I on w nią...! A, to nie-do-uwierzenia! Tego nie było i więcej być nie może. Nie mógł zupełnie pojąć, na czym polegało to wyolbrzymienie, udostojnienie, to „ukoronowanie tego babska w innym rządzie wielkości”. Bo nie urodzenie, nie uroda jako taka (w zupełnej niezależności od stosunku, jaki ich łączył i rozdzielał), nie wpływy, które miała w zagrożonym w swoich podstawach Syndykacie Narodowego Zbawienia. Więc co u diabła?

Coś było w tej nadbabe straszliwego poza wszystkim dającym się określić: stała się dla niedosłzłego metafizyka wcieleniem, jedynym na razie, tajemniczości bytu, zamarłej w sferze

bezpośredniego przeżywania zupełnie. W niej, a nie w nim, osobowość występowała jako tajemnica z mrocznego gąszczu życiowego zagmatwania – piętrzyła się jak niezdojta twierdza w nieskończonych obszarach bezsensu. Po co? Po to aby być, psia krew! – i na tym koniec. A reszta to umysłowe fintifluszki tchórzów i niedołęgów, zasłaniających społecznymi fikcjami, wyniesionymi do godności zaświatowych potęg, ponurą, niesprowadzalną do niczego potworność Istnienia. Bo może być i potworność wesoła – ale ta niestety jest udziałem tylko czystych cyklotymików.

Zypcio, po dwóch tygodniach gniotu dyscypliny, płał się teraz w tej atmosferze „rozdarcia ran”, z uczuciem niewysłowionej męki. (Tło, tło było nieodpowiednie – wszystko można znieść na „*podchodiaszcom fonie*”). Oglądał tajemnicze istności niepoznawalnych bytów, jak zwierzęta dziwne w menażerii lub monstrialne ryby w akwarium – przez kraty i trzycalowe szyby. Nigdy nie wejdzie do tych klatek, nie posiedzie istoty przeżywania tych bestii, nie będzie pływał nigdy w swoistym medium tych potworów jak w swym własnym. To przebicie się przez życiową realność, nudną jak beznadziejne czekanie na łup jesienno-pajaka w odmuszonym, opuszczonym pokoju, możliwe było tylko przez dokonanie aktu płciowego z tą wiedzą. Ale tego zabroni mu ambicja, której nie pokona nigdy, nigdy. Straszna jest rzeczą nie móc być panem swej ambicji i widzieć jak na dłoni, jak siła ta niszczy życie całe (jedno-jedynie, w chwilach rzadkich jasnovidzeń), dla bezpłodnych fikcji, nawet w świecie pojęć mających wątpliwe podstawy egzystencji. I cóż z tego? Nawet, nawet powiadam, gdyby mógł to wszystko przewyciężyć, to cóż by było? Jak tego użyć, co z tym zrobić, jak uczynić czymś trwałym? – (bo o to głównie chodzi). A pytacie: „co właściwie?” – „no tę esencję życia, wartość znikomą uroku, która właściwie nie trwa, to coś, czego jest coraz mniej na świecie (dziś tylko wariaci coś o tym wiedzą naprawdę), a co nie mieści się ani w samym użyciu, ani dokonaniu, ani poświęceniu, tylko wszystkim tym istnościom nadaje dopiero wyższą markę: odbłask niedocieczonej tajemniczości wszystkiego”. (To wszystko powiedziane było kiedyś po pijanemu przez Benza). Przecieka to wszystko przez zacisnięte szpony, znika przed zachwyconą mordą bydłęcia w tużurku, czy mundurku, i pozostawia je znowu, wplątany w codzienny, bezsensowny kołomąt. Wiedzą o tym coś najęźsi nawet schizotymicy. Nie wynaleziono jeszcze na tę rzecz fiksytywu i wątpliwym jest, czy to kiedykolwiek nastąpi. Można tego nie mieć wcale i nie męczyć się. Ale czymże różni się wtedy ludzkie bydło od zwierzęcego?

Wyrastały góry problemów, dla których jakiego-takiego załatwienia trzeba by żyć tysiące lat. Nikt nie spełnia tych trylionów czy kwindcylionów możliwości w nim zawartych – jest jedno to paskudnie jednowymiarowe życie, **wzdłuż** którego właściwie człowiek toczy się jak po relsach – (z metafizycznego punktu widzenia oczywiście, poza wszelkimi niezadowolieniami – o byłby kontent chyba jako stumózgowa i milion-mackowa potwora) a **jednocześnie** idzie jak po linie nad przepaścią: maksymalna niewola i za to (właśnie za to) maksymalne niebezpieczeństwo – i to nie tylko na wojnie pod huraganowym ogniem, ale w zacisnym saloniku czy sypialni, wśród zbytku, ciszy, wygody i pozorów szczęścia, którego nigdy zresztą być nie może – przynajmniej dla schizoidów. Z tymi, czy podobnymi myślami w tobołku, czy plecaku duchowym wszedł był Zypcio do salonu, gdzie czekała na niego „rodzinka”, nienawistna mu w tej chwili aż do żądzy mordowania włącznie. Właśnie przez swój kontrast z tą włością, chełbią i drętwą, czy też po prostu wybryndowaną bledzią z metafizycznych burdelów samej Astoret. Rozparta w grzęzawisku lubieżnej aury siedziała na wiotkim foteliku wznosząc się w wymiarach ducha jak niedostępna turnia, zamykająca wyjście z wąwozów wiecznego upodlenia i „sromu” (tak – okropne!!), sama rysując się na zaświatowym niebie odwiecznych tajemnic (osobowości, płci, śmierci, no i nieskończoności), skąpiana w blasku zachodzącej swej, ale *tout de même* niepospolitej, zaiste nie-kobiecej **ęteligencji** (– jak mówiła). Odmłodzona (w czarodziejским zakładzie „Andrea”), nieznośnie piękna i w piękności plugawa, łaskocząco ponętna i jak nigdy dotąd po prostu „droga” – niezniszczalny dla najdzikszej rozkoszy nawet symbol ogólnego „żalu za życiem” i Zypciowego wstydliwego dziecięstwa (mimo odznak tak żartobliwie zwanego „*partupiej junkra*” [Kocmołuchowicz miał wprost zboczenie do Rosji]) i

niezmytej hańby bez granic. Wiedział już, że wpadł na relsy – cała pomaturyczna swoboda rozwinęła się.

Matka ścisnęła go czule, ale w tej chwili nienawidził ją (jak „nie” połączone – to czwarty przypadek): i za to, że była tu **jego** matką (śmiała być!) (i nie szanowała nic-a-nic jego dorosłości) i za Michalskiego – to nie-do-przewyciężenia – będą wieczne fluktuacje. Gdyby choć sama była czysta i przyjęła go naturalnie jakby nigdy nic, mógłby się o nią oprzeć on – głowa rodziny. I to nawet było zobrzydliwione i ośmieszzone. Widział to w uśmiechku dalekiej jak mgławica Andromedy potwornej damy swego głupiego serca. Wszystko nastawione było jakąś diabelską ręką, aby go zgubić i zgotować mu najsroźsze upokorzenie. Ledwo przywitał się z nadskakującą mu jak wróbelek siostrą: ją też mu wydarto: tamten szczęśliwiec: Sturfan Abnol, który cały świat miał gdzieś, w jakimś metafizycznym hyperderierze. Oprócz tego mundurku, w którym się dusił, nic nie było jego własnością – psia-krew, żebrak! Czyż wszystko to byłoby możliwe, gdyby ten stary, przewrotny mędrzec nie zrobił tamtej przedśmiernej wolty. Mógł to zrobić on sam, Zypek, jako głowa rodziny właśnie – w tym byłaby wielkość. A tak została mu wytrzebiona ostatnia wewnętrzna trampolina dla jakiego bądź czynu. Był marionetką, (raczej „irinonetką”), a przy tym ruszał się w powietrzu jakby w gęstej smole.

Po paru objaśnieniach, które „oddał” paniom głosem zdławionym wściekłością, rozmowa weszła na inne, plugawe tory. Ach, więc to wszystko było już ukartowane! Matka pchała go po prostu w objęcia tej klempawej szołdry, która coraz bardziej złowrogo zaczynała mu się podobać. Czuł że nie wytrzyma i ta beznadziejna walka podniecała jego żądze aż do złośliwego szału. Znienawidzał wszystkich i wszystko coraz jadowiciej, a bez cienia pogardy. Nie istniały inne kobiety – ho, ho – tylko to, a inaczej pęknie tu na te dywany, na te obrazy, bibeloty i fatałaszkę, obsika ten cały kram skondensowanym, zaprawionym trującą nienawiścią, sosikiem swojej najgłębszej istoty. Najgorzej irytował go zaś zdeformowany biust księżnej, wykonany w nefrycie przez Kocia Zamoyskiego, wnuka słynnego na cały świat nieboszczyka Augusta. Wydobył z niej ten bydlak właśnie całą tę niezwykłość, która go wściekała. Ostatnim wysiłkiem trzymał się na włoskach od najregularniejszego ataku furii. „Na włoski” – sam sobie to powiedział. A był to oczywiście złoto-rudy włoski, zaplątany na podniebieniu podczas diabli-wiedzą-czego – ach, mówić nie warto – krwawy mrok bezecnej „chuci” zniszczenia zalewał ostatnie miękkie zwaliska mózgu – sterczały już tylko szczyty centrów kontroli najwyższej. Chciałby się bić z nią jak z napadającym wstrętnym drabem – jakiś pojedynek na śmierć... Ona, zgadując jego myśli, rzekła wolno:

– Kiedy panie wyjdą – ja nie wypraszam – ale sama mamusia pana mówiła („ach więc one wyjdą, a on zostanie – tak zostanie – musi, musi —”) to pójdziemy na „*escrime*” do sali gimnastycznej. To panu dobrze zrobi... – Matka coś głądziła dalej. Syczącym głosem przerwał te jakieś nieokreślone dywagacje na jego temat, a mające bardzo nieprzyjemny posmak pchania go w jakieś karierowe świństwa.

– Więc mama chce, abym ja był po prostu tajnym adiutantem pani – ordynarnie oczyma wskazała księżnę. – Wie mama chyba o zasadniczej sprzeczności syndykatu i partii wojennej, która jest wierna naszemu wodzowi. Oni by chcieli dyplomatycznie opanować Chińczyków i uratować....

– Cicho, cicho... —

– Nie będę cicho. Ja was wszystkich zadenuncjuję...

– Nic nie rozumiesz, dziecko. Ja ciebie już wychowywać dalej nie potrafię. Nie chcę, abyś niszczył stosunki z ludźmi tak sobie życzliwymi jak Irina Wsiewołodowna. Mówiła mi, że była u ciebie w szkole i że byłeś niegrzeczny. Dlaczego? Nie trzeba zniechęcać do siebie ludzi chętnych... (Wiedział, co to za chętki. Czy ta mama zgłupiała, czy spodłafa tak z tym „panem Józefem”?)

– Czy mama nie wie – zaczął, ale musiał spojrzeć na tamtą i sparaliżowany okrutnym, żółto-zielonym błyskiem jej oczu urwał. – Czy mama jest tak naiwna – i urwał znowu.

– Ja chcę tylko, żebyś umiał ocenić dobroć Iriny Wsiewołodowny, która obiecała wprowadzić cię w świat polityczny. Jesteś przeznaczony na adiutanta Generała-Kwatermistrza – (tak mówili o nim tylko w pewnych sferach). – Nie możesz być takim zwykłym, głupiutkim oficerkiem – musisz

poznać wpiery ludzi wybitnych i wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach nader skomplikowanych – musisz też nabrać ogłady, której niestety takim przeciwnikiem był twój nieboszczyk-ojciec.

– Proszę nie mówić o ojcu. Zrobię, co zechcę. Jeśli nie nabiorę sam politycznego rozumu, zostanę oficerem frontowym, do czego mam największą skłonność. Potrafię zginąć bez parszywych form intelektualnych, wymaganych w jakichś parszywych politycznych salonikach, w których robi się bezsilną politykę kompromisu...

Księżna (szczęśliwa). – Panie Zypku – jeszcze herbaty. Z pana zdolnościami szkoda, aby pan robił to, co za pana byle dureń potrafi. A przy tym będzie pan miał punkt obserwacyjny świetny. Człowiek zajmujący się literaturą nie powinien odwracać się od życia i to wtedy, jeśli ono chce mu pokazać swą twarz z najciekawszej strony. —

– Zupełnie inne na to mam poglądy. – (Księżna uśmiechnęła się ironicznie: „on ma poglądy!”) – — Życie nic z literaturą wspólnego nie ma – chyba u autorów, którzy w ogóle do literatury nie należą – są bezmyślnymi fotografami jakichś zatechłych kącików rzeczywistości. Literatura właśnie – nie teatr i nie poezja, tylko proza – stwarza nową rzeczywistość według teorii Chwistka. Teoria ta bezsilna jest wobec sztuki czystej, ale na szczęście to coś, czego nawet nie rozumiem, zanika w naszych oczach. Rozumiem właśnie twórczość nie jako produkowanie tej idiotycznej, nikomu niepotrzebnej tak zwanej „czystej formy” i nie jako odwalanie rzeczywistości, tylko jako stwarzanie rzeczywistości nowej, do której uciec można od tej, której mamy dosyć po same gardła...

– No czy tak bardzo dosyć, panie Zypulka – śmiała się już otwarcie Irina Wsiewołodowna.

Matka. – Zypciu! Jak ty mówisz ordynarnie! Ty musisz zacząć bywać... – Księżna spoważniała.

– Panie Zypku: Sturfan Abnol, ten schizofrenik, ten genialny marzyciel wcielonej pustki, zawrócił panu głowę swymi teoriami. To dobre w teatrze Kwintofrona Wieczorowicza – dodała widząc oburzenie na „jasnej twarzycze” Lilian – w teatrze w swoim rodzaju nadzwyczajnym. Tam jest miejsce dla niego, artysty – bo artystą jest, mimo że twierdzi, iż sztuki nienawidzi – tam, gdzie właśnie zupełna pustka w znaczeniu nieobecności wszelkiej treści realnej wciela się naprawdę w życie jako zbiorowa twórczość artystyczna. Indywiduum się w sztuce skończyło. Bo w to wytwarzanie nowej treści urojonej, w przeciwieństwie do jakiegoś dawnego formizmu, nie wierzę. Byłam raz i **nic – dosłownie nic**. Ale musimy tam pójść razem. Lilian już w przyszłym tygodniu wystąpi po raz pierwszy w cudnej burdelesce swego Sturcia czy Fania. Ale literatura – mówiła dalej swym najbardziej uczonym stylem – nie tkwiąca silnie w podłożu społecznym danej chwili, bojąca się jadowitych problemów i dalekich horyzontów dla jakichś dydaktycznych urojeń; chęci podnoszenia mas, musi być fałszem, narkotykiem „*tretiawo razriada*” dla ludzi słabych, nie mogących wziąć za kark najprostszej rzeczywistości. Sam Abnol przerzuca się na teatr z całym swoim niby hyperrealizmem... (Nieletni fornikator był zgnębiony na miękko. Rosyjski przewlekły akcent działał na niego jak *johimbina*).

– Co za pomieszanie pojęć w tej biednej rudej głowie – zaczął Genezyp programowo – wyższościowo, ale nie wystarczyło mu materiału i odwagi i utknął. – Niech pani lepiej postawi jasno kwestię wobec mamy. Skąd ta cała życzliwość dla mnie? Chce pani mieć okaz dla obserwacji? Chce pani na mnie wykonać jeszcze jakiś piekielny eksperyment, bo się pani nudzi. O, gdyby mama wiedziała wszystko!

– Wie – nie skłamałam nic. Mama mnie rozumie jako kobieta. Nieprawdaż, baronessa?

– O, jak ja jednak panią znam! – Zakrył twarz rękami purpurowy ze złości i wstydu. Jakież był piękny! Szkoda! Lilian pochłaniała nierozczłonkowaną, niezrozumiałą „istotę życia” podświadomymi ssawkami. Coś się w niej prężyło do skoku – jeszcze chwila, a będzie wiedzieć wszystko. To wiedzieć i potem wkręcić w to Abnola i wszystko inne dalej – położyć się na życiu, jak pantera na dogonionej antylopie, odpocząć, a potem chłeptać żywą krew... Znowu nadstawiła różowe uszki pod niewinnymi blond-kosmykami.

– Nic-a-nic mnie pan nie zna i nie pozna nigdy. „Poznaj mię dobrze, bo wkrótce utracisz, jak sny przez dobre duchy malowane” – co to: Słonimski, czy Słowacki? A *wsio rawno!* **Głupie poetniki.**

Pan jest dziecko – biedne, okrutne dziecko. Kiedyś pan zrozumie wiele rzeczy, ale wtedy może być za późno, za późno... – Coś zajęczało w jej głosie, zajęczało powoli coraz bardziej jej biedne serce. Była teraz jak duża, przemyślana i bardzo biedna dziewczynka. Genezypa zdławiła za gardło jakąś wstrętą litość. – Pan mnie sądzi fałszywie. Pan jest z tych, którzy prócz siebie nikogo od środka nie pojmą – nigdy – w tym pana szczęście i nieszczęście. Pan będzie dotykał życia przez ciepłe, grube rękawice – już nie przez gumę – pana nic nie zrani, ale nie dojdzie pan nigdy do całkowitego szczęścia w uczuciu. – („Sama jest taka” – pomyślał leniwo Zypcio). – Skąd pan wie, przez co ja przesłam, i co cierpię teraz. Człowiek z bólu może pokasać rękę, która go głodzi. Pan zastępuje mi synów, których tracę – każdego inaczej. Maciej jest obcy, a Adam nie wyjdzie już stamtąd... – (Załkała na sucho i opanowała się natychmiast). – I zamiast cenić mamę, że jest tak liberalną matką, pan nią za to właśnie pogardza.

– Matki nie powinny wglądać w brudne męskie sprawy synów, o ile nie przekraczają one granic kryminalnych... Sprawy, nie matki. Cha, cha! – śmiał się nieprzytomnie jak bohater Przybyszewskiego. – Baronowa, przygotowana snadź na wszystko, nie drgnęła nawet.

– Księżna jest bardzo zdenerwowana i opuszczona. Księżę i markiz Scampi musieli wyjechać do stolicy, a księżę Adam jest aresztowany. Pomyśl – jest sama – chodzi o to, ażeby miała młodego przyjaciela. Młodość to wielka rzecz. Ileż jej idzie na marne, gdy dla kogoś mały jej kawałeczek może być tą wielką dźwignią, dopełniającą jego układ sił... („Język »pana Józefa«” – z obrzydzeniem bąknął w myśli Zypcio. „Ja mam być podręcznym akumulatorem energii dla tego babska!”).

– Tak – moją uboczną misją na tym nędznym świecie – (Mignął się jej w wyobraźni jakiś wspaniały dwór i ona jako kochanka młodego króla – wszechwładna w polityce i w miłości...) jest wprowadzenie pana w świat. Przeżyję w tym moją drugą młodość.

– Ale czemu naprawdę nie pojechała księżna do stolicy? – brutalnie spytał Genezyp, nagle zdołała, zły samiec. Zdawało się, że w oczach trzech kobiet pokrył się cały włosami. Zmałpiał.

Nastąpiła chwila niby-kłopotliwego milczenia. Światy waliły się gdzieś, niepodobne do tego, w którym odbywała się ta rozmówka. I mimo że, połączywszy odpowiednie punkty, można by jeden z drugiego kolineacyjnie wyprowadzić, nikt z tych czworga ludzi, w życiu samym w sobie pogrążonych, nie wiedział nic o tamtych „zaświatowych” obszarach, w których żyli teraz, aktualnie, jak widma, obdarzone wyższym ponad-bydłym sensem – wszyscy czworo w tej samej dokładnie chwili, gdy pili herbatkę tu, w tym saloniku.

– Czemu tak, czemu – powtórzyła obłądnie księżna i zaraz spadła z tamtego wymiaru w ten salonik, jak postrzelony ptak. – Muszę tu pilnować przyjaciół męża, a przy tym mam pewien osobisty interes... Gdybym była tam, musiałabym się starać o uwolnienie Adama. A ponieważ znany jest mój osobisty urok, więc rozumie pan, oni wszyscy zawzięci są na mnie więcej niż na kogokolwiek bądź – żeby pokazać swój niby obiektywizm, dla przykładu, żeby pokazać, że ja na nich nie działam, właśnie na złość będą stokroć bezwzględniejsi niż z jakąś pierwszą-lepszą petentką... – Genezyp nie słuchał tych tłumaczeń.

– Ten osobisty interes, to jestem ja – raczej moja cielesna powłoka. „*Obłoczka*” – tek. – (Był sam dla siebie tak wstrętny, że nie mógł „wyjść z podziwu”, że go po prostu na pysk stąd nie wylewają). – Jestem dla pani smacznym kąskiem – niczym więcej. Bo nawet sympatii pani dla mnie nie ma. Traktuje mnie pani jak głupie zwierzątko – użyć, a potem wyrzucić. I tylko podziwiam matkę, że z panią razem przystępuje do spisku przeciw mnie, chcąc mi odebrać siłę i odpowiedzialność, jako jej opiekunowi.

Ta bzdura była już kompletnie ponad siły obu pań. Coś zaczęło się rwać. Bezsens stanu całego społeczeństwa, z fikcyjnym rozdziałem na Syndykat i to coś bezimiennego, o czym bali się mówić, a nawet myśleć, najśmielsi, i to beztwarzowe, tajemnicze, zadowolenie z chwili, to właśnie wcielało się w tę właśnie chwilę w tym salonie, jak w najdoskonalszy symbol. Niepotrzebność tych ludzi i takich ich stosunków. Ale niepotrzebność dla kogo? – dla nich, czy dla tych tam obławianionych i **zadowolonych** robociarzy? Chwilami zdali się niepotrzebni wszyscy, i ci, i tamci – niepotrzebny był

świat – nie miał go kto przeżywać w sposób godny i warty. Zostawał pejzaż sam w sobie i trocha bydłat – to mało. Tylko żywy mur chiński mógł jako tako to załatwić – ale to było coś w rodzaju lawiny: bezimienny żywioł. Lepiej by jeszcze zrobiła „*eine Weltkatastrophe*” – zderzenie planet czy wejście w nieznaną mgławicę.

Księżna. – Pan jest niemożliwie brutalny. Myśmy mówiły tu z godzinę przed pana przyjściem, wszystko ułożyłyśmy, już było tak dobrze, tak dobrze, a tu...

Genezyp: – Porozumiały się panie jako kobiety, mama ma pana Michalskiego – pani chce mieć mnie. Mamie jestem niepotrzebny, nawet zawadzam jej w tym całym „nowym życiu” (z ironią) – chce mnie zwalić z karku i jako syna, i jako opiekuna. Anadiomene z piany od piwa – pienieł się – tania gargotka z higienicznymi miłosnymi placuszkami, – ja nie chcę być jaką „*Selbstbefriedigungsmaschine*”, ja...

Matka: – Zypciu! Tu jest twoja siostra. Zastanów się, co mówisz. To obłąd zupełny, – ja już nie wiem, kim ja jestem. Boże, Boże...!

Genezyp: – Niech mama nie wzywa Boga, bo Bóg dla mamy dawno umarł: razem z papą: to było jego istotne wcielenie. – (Dobrze, ale skąd to bydłę wiedziało np. o tym?) A ta „siostra” za parę tygodni więcej będzie wiedzieć o życiu, niż ja – a może już wie teraz. Nie mam nic przeciw Abnolowi, ale z daleka od Lilian.

– Podświadoma zazdrość brata – rzekła z naukową powagą księżna.

Matka: – Sturfan jest potomkiem bojarów rumuńskich, a za rok niecały będą mogli się pobrać. Lilian kończy szesnaście lat we wrześnie.

Genezyp: – A róbcie sobie co chcecie! Nie wiedziałem, że w ten pierwszy dzień wyjścia mego ze szkoły takie będę miał przyjemności. Wszyscy za mnie coś chcą robić, a nikt nie wie dokładnie co. Ale w imię czego, tego też z was nikt nie wie – oto co jest gorsze.

Księżna: – Właśnie to jest ta bezideowość dzisiejszej młodzieży – z tym chcemy rozpocząć walkę, zaczynając od pana.

Genezyp: Wskażcie mi tę ideę, a upadnę przed wami na brzuch. Idea hamulcowa – oto wasz najwyższy szczyt.

Księżna: – Są idee pozytywne – jest Syndykat Zbawienia. Tylko na hamulcach wóz nasz toczyć się może na takiej pochyłości jak dzisiejsze czasy. Hamulec jest dziś najpozytywniejszą rzeczą, bo stwarza możliwości innego wyjścia niż bolszewicki „*impasse*”. Idea narodu jest konieczna...

Genezyp: – Idea narodu kiedyś, krótki czas, była ideą pozytywną: była to idea-juczne bydłę, niosła na swoim grzbiecie inne. Była to pomocnicza linia w zawiłym geometrycznym rysunku. Wielbłądy ustępują przed lokomotywami – po wykonaniu planu linie pomocnicze wyciera się. Wszelki kompromis narodu i społeczeństwa jako takiego jest niemożliwy. I mimo całej beznadziejności należy wam zginąć na tych nowych okopach Świętej Trójcy – tylko bez Boga – oto sztuka. A trójca wasza to chęć użycia za wszelką cenę, chęć już tylko pozorów władzy za cenę lizania brudnych dla was łap proletariatu i wola kłamstwa, jako jedynej twórczości – oto wasze idee.

Lilian: Przyszły mędrzec z Ludzimierza, jak przyszły święty z Lumbres w pierwszej części powieści Bernanosa!

Genezyp: – Jakbyś wiedziała! Zobaczysz jeszcze czym...

Księżna: – Nie zakłamuj się, Zypulka. Ja sama miałam też kiedyś takie pomysły. Ale teraz widzę, że tylko w kompromisie jest przyszłość, przynajmniej na dystans naszych tymczasowych istnień. Czemu Chińczycy zatrzymali się? Bo się boją Polski, boją się, że tu, w tym kraju kompromisu, siła ich rozbije się choćby chwilowo, że się rozłoży ich armia, gdy ujrzą kraj szczęśliwy, bez żadnych bolszewickich pseudo-idei.

Genezyp: (Ponuro). – Raczej to bagno. Czyż kraj nasz jest szczęśliwy? Jeśli się wejrzy w głąb tego splotu... („Tu są takie aktualne, częściowe sprawy do załatwienia, a ten brnie w jakiś „*pryncypjalnyj rozgwor!*”)

Księżna: – Nie trzeba za nic patrzeć w głąb. Po co! Trzeba żyć – to największa sztuka. – (Błada, nędzna wydała mu się jej afektacja w tej chwili), – Ach – czuję, że idzie na mnie coś wielkiego z dalekich przestrzeni, co mi potwierdzi moje prawdy! Pan, panie Zypku, może oddać nam nieocenione usługi, o ile, jako tajny członek Syndykatu, wejdzie pan w najbliższe otoczenie Kwatermistrza, który otacza się ludźmi politycznie bezpłciowymi.

Genezyp: – Po prostu chcecie ze mnie mieć szpiega w sztabie tak zwanego przez was Kwatermistrza. Tyle on jest Kwatermistrz, co ja. To jest wódz. A niedoczekanie wasze. Nie – dosyć – będę tym, czym być chcę. Będę miał cierpliwość, aby to zobaczyć bez niczyjej pomocy. Od tej chwili niech nikt nie śmie mną kierować, bo ja go pokieruję tak, że popamięta, albo nie popamięta wcale – to gorzej. Nie prowokujcie we mnie tajemnej siły, bo was wszystkich rozniosę. – Olbrzymiał fikcyjnie, wydymany urojoną potęgą – czuł to, ale opanować się nie mógł. Coś obcego stawało się najwyraźniej w mózgu – ktoś tam grzebał niewprawną ręką w tych zawitych aparatach – ktoś nieznan, jakiś straszny pan, który nie raczył się nawet przedstawić, za niego załatwiał wszystko – bezczelnie, pośpiesznie, bez namysłu, na pewno, bezapelacyjnie. Sam początek, ale wystarczy. „Czy to tamten, już trochę znany (choć powierzchownie) gość, wylazł z ukrycia? Boże – co się stanie za chwilę?! Nikt tego wiedzieć nie mógł, nawet sam Bóg, chociaż mówią, że to ON właśnie odbiera rozum swoim stworzeniom – jak wszystko inne zresztą – odbiera i daje. On albo programowo niszczy częściowo (czy „wylacza”) swoją wszechwiedzę (jest wszechmocny – tak) (dla swojej zabawy, czy „zasługi wiernych”), albo jest okrutnikiem ponad wszelkie nawet ludzkie zrozumienie. A czyż jest okrutniejsze bydlę niż człowiek?” – Tak mniej więcej myślał okruciami Zypcio, na tle tamtego mózgowo-materialnego dziania się czegoś niewiadomego. Wydierał się Zypcio sam z siebie w tajemniczy, okropny świat, w którym rządziły inne prawa, niż tu – ale gdzie to się działo? Był tu i tam jednocześnie. „Gdzie jestem?” – krzyczał ktoś bezgłośnie w jakichś jaskiniach bez formy, dna i sklepień, w „grotach, które rzeźbi sen i obłąkanie” [Miciński]. Ach – więc to jest ten obłąd, o którym się tyle mówi. To wcale nie jest takie straszne: lekka „nie-euklidesowość” psychiki. A jednocześnie ta „próbka bez wartości” była czymś tak okropnym, że na całe życie wystarczyć by mogła. Nie to samo – tylko to, co być poza tym mogło: co powiedzą na to centra motoryczne, a dalej mięśnie, ścięgna, kości – czy nie obróca wszystkiego dookoła w puch i proch – a potem konsekwencje – to jest straszne. A jednocześnie, z przerażającą zaiste jasnością, widział całą głupią, pospolitą sytuację obecną. Zatrzymał wzrok na Lilian, jak na libelli stałej w nachyleniu wśród tego chwiejnego kłębowiska pospolitości. Kochał ją, żyć bez niej nie mógł – ale działo się to za szybą, tą, która zawsze oddzielała go od świata. Sztylet zdradliwej ambicji wbił mu się we wnętrzości od spodu – znienackie pchnięcie zagrobowego ojca. To ona temu winna – matka – ona jest wariatka. To po niej ma ten cały pasztet we łbie. A jednak ani na chwilę nie chciałby być kimś innym. Dźwignie samego siebie ponad siebie razem z tym obłądem. Bo to był obłąd – wiedział o tym, ale jeszcze się nie bał. Ta myśl była jasna aż do osłepienia – czarność dookoła. Jednak trochę się przeraził i oprzytomniał. Wszystko to trwało jakieś nieuchwytnie mgnienie czasu. Gdzie to się podziać mogło w oczywistej jednoczesności? Jakby czas się rozdziwił i biegł na wyścigi dwiema różnymi kolejami.

Genezyp stał oparty pięścią o stół. Był błady i chwiały się z wyczerpania, ale mówił zimno, spokojnie. Czuł w sobie rozgałęzionego jak polipa ducha Kocmołuchowicza – przyjemnie jest mieć wodza i wierzyć mu. (Księżna wyła do wewnątrz z zachwytem. Tak się jej podobał ten mały „buntowszczyk”, że nie wiem. Ale teraz zgjąć go trochę, chociażby troszeczkę upokorzyć i żeby na nią, w postaci gwałtu i tych jego soczków (jak nacięta młoda brzoźka w słońcu) wylądowała się ta cała dziwna, zagmatwana wśród hamulców wściekłość: „Skanalizowanie męskiego abstrakcyjnego szału i niewystarczalności wszystkiego” – jak to nazywał markiz Scampi). Matka przerażona nagle zacichła jakby obita od środka i przyplaszczyla się. Ale za to Lilian patrzyła na niego z uwielbieniem – to był ten jej ukochany, wymarzony Zypcio – takim go chciała mieć jako brata właśnie: prawie wariatem. Nienormalność była konieczną pieprzną zaprawą bratersko-siostrzanych infiltracji, o mały prozek już od płciowych psycho-centrów – (dla niego też). Taki inny był niż wszyscy – „niezyciowe

widmo” – jak mówił Sturfan Abnol. Wszystkie trzy baby, każda na swój sposób, korzyły się przed urojoną potęgą chwili, nie widząc (jak zwykle) istotnych powiązań na daleki dystans. Znowu zaczęło się to samo:

Genezyp: Będę takim, jakim być chcę, chociażbym tam miał i zwariować. Tak więc mama wie, że byłem kochankiem tej pani i że w moich oczach zdradziła mnie z Toldziem. Tak – patrzyłem na to z łazienki, zamknięty umyślnie na klucz. – Spodziewał się, że jeśli sam to jasno wypowie, tym samym wzniesie się ponad dziejącą się za jego plecami machinację. Obie damy zachowały zupełny spokój. Nowe kierunki w wychowaniu panienek: przepajanie całkowitą wiedzą zła z punktu, w samym nieomal zarodku uczuć. To miały być te silne kobiety przyszłości. Lilian wiedziała o wszystkim: pojęciowo – raz – i dwa): bezpośrednio, dolnym brzuchem, w którym przeżyły się głodne życia potwory. – I mama by chciała, abym ja potem...! Ja nie wiem, gdzie ty żyjesz obecnie – w jakimś niezrozumiałym dla mnie świecie. I to nie jest świństwo! – to syn jest bardziej konserwatywnym od matki! To wszystkiemu winien Michalski – pan Józef – cha, cha!

Matka: Okrutny jest twój śmiech. Przypomnij sobie ten ranek... Jakże byłeś inny wtedy...

Genezyp: I wstręt mam jeszcze dotąd do siebie za ten ranek. To było właśnie po **tym**... – (Tu wskazał na księżnę). – Chcę strząsnąć z siebie wszystko, być nagim jak embrion i zacząć wszystko na nowo. – (Baby w śmiech – ale szybko się opanowały. Strasznie oburzony Zypcio zmartwiał zmieniony w jedną ranę. Zapadał się w grząski wstyd, śmieszność lepka i jałową beznadziejność. Huśtawka). I Lilian, Lilian wtajemniczona w takie rzeczy! – Chciał się ratować histeryczną obroną siostry – naprawdę nie obchodziło go to wcale.

Matka: Ty nic nie rozumiesz kobiet. Widzisz w nich najgroźniejszą siłę, zagrażającą twojej niewykształconej indywidualności, a nie dostrzegasz tego, jak krucha jest ta ich potęga – ile muszą one nagromadzić w sobie pozornego zła, aby was w ogóle wytrzymać. Ty nie wiesz, co ona wycierpięła dla ciebie. – Wstała i objęła księżnę. – My obie tak cierpimy razem nad tobą. Zrozum sercem i ją, i także twoją biedną matkę, która nic prócz cierpienia w życiu nie miała. Ty nie wiesz, co to jest zacząć kochać naprawdę po trzydziestce! – Zaczął tajać po wierzchu – spociał się jakby tłustą czy śluzową litością – ale się trzymał – raczej tamten „gość” trzymał go na granicy pełnej fiksacji. „W obłądzie też jest siła” – pomyślało mu się w pustej przestrzeni między sobowtórami.

Genezyp: Nie chcę nic o tym wiedzieć! Wstrętne jest to uczuciowe ślimaczenie się wasze. O – jakże ohydłą rzeczą jest uczucie ludzkie, właśnie ludzkie – to zawinięte w kłamliwe futerały odpadków społecznych transformacji. O wiele szczęśliwsze są bydłota – tam u nich jest to prawda.

Matka: Mało co różnisz się od bydłota, moje dziecko. Przebierasz miarę w brutalności, łudząc się, że jesteś silnym człowiekiem. A co do Lilian to są te nowe metody wychowania. Nie chciałyśmy cię zrażać przedwcześnie. Wczesne uświadomienie nie jest niczym złym – przesady, które kosztowały wiele pokoleń ich zdrowie psychiczne. Za kilka miesięcy Lilian będzie i tak żoną Sturfana. Prawda, córeczko, że lepiej teraz się czujesz, jak wiesz wszystko?

Lilian: Ależ oczywiście, mamo! Nie ma o czym gadać. Zypcio jest dzieciak, ale jest wspaniały w swoim rodzaju. Z czasem oswoi się ze wszystkim. Przecież na Nowej Gwinei nie ma wcale kompleksów freudowskich. Tam dzieci od szóstego roku życia bawią się w małżeństwo. A potem wszystko jest „tabu” w obrębie jednej wioski. A siostra jest największe „tabu”: za dotknięcie śmierć – [dodała z nieprzyjemną kokieterią]. – Wszystko jeszcze będzie dobrze: wewnątrz pozornej mechaniczności życia my stworzymy nowe, normalne pokolenie – nie nasze dzieci, tylko nas samych. My nieznacznie, od środka zmienimy wszystko. – [dodała znowu z naukową już całkiem powagą].

– Dla Chińczyków będą te nowe pokolenia – nawóz albo podmurowanie ich konstrukcji w tym kraju – przerwał jej wściekle upokorzony Zypcio, któremu wszystko przewracało się w głowie. – Frazesy, gołosłowne obietnice bez podstaw, otumanianie się nałogowych optymistów – ja wiem to po sobie. – A jednak sytuacja podobała mu się gdzieś na dnie, ale na przekór wszystkiemu, co uważał w sobie za wartość: sam początek perwersji – dzieło tamtego draba w nim. Tylko czym było to dno? (Co to mogło obchodzić takiego Kocmołuchowicza!? Furda! A jednak to są te właśnie różniczki,

(te „cząsteczki mózgowo-psychiczne” jak mówił pewien zniewieściany hrabia-bergsonista), z których robi się miazga, w której pracuje taki mąż stanu, który – i tak dalej. Nie wiedział Zypcio, jak są do siebie podobni z tym oberhyperkwatremistrzem, którego tak wielbił i który dużo by się mógł nauczyć, patrząc przez lupę na tego swego mikrosobowtóra. Za późno się spotkali, ze szkodą dla nich obu).

Coś wyłaziło znowu z głębi. Oświetliła Zypcia nagła błyskawica od środka – objawienie. Stało się w nim całym tak lekko, przestronno (i jasno nawet) jak w zakatarzonym nosie po dwóch decygramach kokainy. Ten tam nienazwany, którego się bał i przed którym się bronił, to drugi on prawdziwy, najprawdziwszy – wypuścił go z podziemi na światło – niech się rozprostuje, rozepcze i też niech użyje. [„Wariat może spełnić swoje życie jedynie w obłądzie” – tak by powiedział genialny Bechmetiew]. Wszystko poświęcić można, aby go poznać wreszcie i ujarzmić, lub być ujarzmonym. Ale jak to uczynić, za cenę jakich zbrodni czy wyrzeczeń. Takie długie to życie jeszcze! Od tamtego można by się nauczyć, jak je zapełnić i przetrzymać. Tylko tamten może to uczynić – on sam będzie zawsze „za szybą”, jak ryba w akwarium.

Informacja: Nie czuła tego wszystkiego Lilian. Wszystko miała w sobie – była doskonała, psychicznie okrągła, bez skazy – jak papa – cyklotymik. To (co za cuda kryły się w tym „tym”!) bawiło ją jedynie umysłowo, zupełnie na zimno. Świetnie dopasowała do swego wewnętrznego chłodu maskę dorosłej osoby. Ten chłód, było to właśnie to, za czym tak dziko szalał Sturfan Abnol. Ale dotąd (broń Boże) nic między nimi nie zaszło. Parę pocałunków, podczas których spytała go lodowato: „czemu mnie pan tak liże?” – nie było to wstrętne, tylko dziwnie obojętne – nie pochodziło z tego świata, w którym żyła w myślach swych: nie połączyły się jeszcze wybuchowe materiały z lontem, prowadzącym do ukrytych w małej, „dobrze zekwilibrowanej serwelce” (jak mówiła księżna Irina) detonatorów. Ale coś wyłaniało się poza tym: owoc życia, bezkształtny jeszcze, nie przypominający na razie w niczym Fallusa, wypinał się kusząco. Zdawało się to tak idealne jak przeziorek seledynowy wśród mgieł w jesienny poranek, a były to całe węzowiska plugawych sił i apetytów, rozpierających się aż w nieskończoność. Kiedy już, już miały się zetknąć niewspółmierne światy (jak usta – ale te idealne, nie mięsiste wargi Sturfana z jej poziomkową marmeladką) i stworzyć nowe chemiczne połączenie: świadome kobiece bydlęctwo i potęgę, Lilian doznawała czegoś graniczącego prawie z religijnym zachwytem: jej czysta jeszcze bądź co bądź duszyczka pławiła się w eterycznej, niespełnionej piękności urojonego, nieurzeczywistnialnego Istnienia.

Zamknęły się znowu „wrzeczadze” więzień: jeszcze nie czas. Genezyp opadł bezwładnie od wewnątrz. Odbite miał mięśnie od kości i wszystkie bebechy w nieładzie. Mógł być tytankiem tam w szkole i walczyć zwycięsko ze swymi osobistymi wrogami: dowódcami sekcji i plutonu. Ale tu, oblepiony świńskością i urokiem spotęgowanego ponad jego miarę życia w formie tych bab (te rodzinne potęgowały tylko urok tamtej książęcej bestii, zamiast osłabiać, jak by to powinny) poddawał się na całej linii. Chyba trzasnąć do diabła wszystkie trzy od razu (tylko od razu – inaczej nie wyjdzie ten pasjans) i nie zobaczyć ich nigdy więcej w życiu. Ach – gdyby to tak można taką sztukę wyczynić – są przecież tacy, co tak robią. Coraz mniej ich jest, ale są, psie-krwie. Ale na to nie miał odwagi. Sam utajony obłąd trzymał go za kark i kazał chleptać z tego koryta nędzy dalej. Brzydki kompromis wlał się z boku i płynął jak struga mętnego bocznego potoku w czystej rzece. Zarzut bezideowości palił go wstydem nieznośnym. Jakąż bowiem miał ideę? Czym mógł usprawiedliwić fakt swego życia, nagi, odarty z codziennych, drobnych dowodów konieczności, sterczący chwiejnie z otaczających bagnisk bez żadnych podpórek dziecinnych koncepcji istotności koncentrycznych kółek – no czym?! A ta wściekła baba miała przy tym jakieś polityczne koncepcje, miała w ogóle łeb na karku, a w tym łbie mózg wcale nie ostatniej jakości, prawie że męski i w dialektyce wyćwiczony. Nie było wcale łatwą rzeczą tak ją z punktu zlekceważyć. Czy to nie oburzające?

Wlekło się wszystko niemożliwie. Już nikt go nie przekonywał. Wiedziały wszystkie trzy (jak wiemy z Makbeta), że się poddał. Babi tryumf zapanował w salonie, oblepił nieprzyzwoitym śluzem wszystkie meble, dywany i bibeloty. Matka i Lilian podniosły się z foteli z tym charakterystycznym pochyleniem naprzód, wyrażającym dystygowane pływanie ponad nędzą, przezwyjęzoną rzeczywistością – była w tym też wdzięczność dla księżnej. Pani Kapenowa ucałowała syna w „czołko”, nie pytając go nawet, czy wychodzi, czy zostaje. Przyszły adiutant Wodza zadrzał od tego pocałunku: nie miał ani matki, ani siostry, ani kochanki; był sam zupełnie w nieskończonym wszechświecie, jak wtedy, po tym fatalnym przebudzeniu. O ekskrementalnych przyjaciółach nawet nie pomyślał. Ha – niech się dzieje co chce. Wyjdzie i nie wróci, tylko nie teraz, nie zaraz, na Boga, nie w tej chwili. „*Der Mann ist selbst*” – jak mówił naczelnik szkoły, generał Próchwa.

Wyszedł z paniami do przedpokoju. Ale kiedy całował na pożegnanie **piekielnie miękkawą** rączkę księżnej Iriny, ta zdążyła mu szepnąć razem z gorącym oddechem, wycelowanym prosto w prawe ucho: „Zostaniesz. Niezmiernie ważne rzeczy. Cała przyszłość. Kocham cię teraz zupełnie inaczej”. Rozpuścił się w tym szepcie, jak cukier w gorącej wodzie. I nagle, zmieniony sam dla siebie do niepoznania, rozjaśniony upadkiem, już nie sam i nie w rozpaczy (ujutność trochę śmierdzi, ale to nic) zadowolony, rozczulony, prawie szczęśliwy przez łagodne (środek łagodnie rozwalniający) płciowe rozluźnienie, został. Ale zaraz po wyjściu tych pań księżna stała się zimna i daleka. Genezypa chwyciła znowu lodowatą rozpacz – za mordę, brutalnie. Na to więc zdradził sam siebie, aby za upadek wewnętrzny nie dostać nawet jednego ochłapu, choćby gorszego, tego ciała, którym w istocie pogardzał. Natchnienie do jakiegoś decydującego czynu nie przychodziło. Łupić, bić, mordować, kopać – a tu stał w kąciku grzeczny chłopczyk z sercem *en compôte*.

– ...teraz nie będziemy mówić o nas. – [Siedział wypięty i po wojskowemu stężały. Ta „kupa elementów” przed nim była tak daleka (oto „inny wymiar” jak byk w tej samej przestrzeni), że nie mógł pojąć, nawet w przybliżeniu, jakim cudem mógłby sobie pozwolić na najlżejszy nawet, „najsiostrzeńszy” pocałunek. Męka rozkładu za życia, i to na zimno, trwała. „Ach – wyrwać się już raz na szeroką falę bez tych przeszkódek, zastawek, drobnych hamulczyków” – ciągle miał uczucie, jakby mu kto laskę między nogi wstawiał. Koniec szkoły – oto termin ostatni – wtedy on im pokaże... Ale żeby nie było tak, jak z maturą, kiedy to najważniejsze problemy osobowości wylażyły wtedy, gdy wszystko zdawało się być załatwione, skończone.] – to najmniej ważne (niby „my”) – Ważniejsze jest to, kim ty będziesz dalej. Ty właśnie, Zypciu, z twoją naturą pełną tajemniczego, bezforemnego żaru, nie możesz żyć tak bez żadnej idei. To grozi pęknięciem, obłądem w najlepszym razie. W tobie odbija się, jak przelatujący obłok w lusterku, cała ludzkość. Ja wiele zrozumiałam, patrząc na te twoje szamotania się. – (Mówiła jak jakaś stara ciotka, będąc **tak** piękną! To piekielne...) – Idea organizacji pracy nie doprowadzi nikogo do wielkich czynów. To są koncepcje szarej przyszłości i dla tej przyszłości istotne – ale my musimy patrzeć na ich wcielanie się w dawne organizmy społeczne, których częściami na pół jeszcze jesteśmy i dlatego czujemy tylko ból i nudę – wrastamy sami w siebie w obcych nam formach. – („»Cóż« w piętę goni ten babon” – pomyślał Zypek). – Są to idee pomocnicze, techniczne, które **obecnie** zużywać może każda partia dla swoich celów, począwszy od nas: Syndykatu Zbawienia, aż do zbolszewizowanych Książąt Mongolskich – ale kiedyś będą one urzeczywistnione w całej ludzkości – i na szczęście nas już wtedy nie będzie. Właściwie nie są to żadne pomysły, którymi można żyć, albo się im poświęcać – o ile się nie jest specjalistą w danym zakresie.

Genezyp: Tak, ale idea ciągle i to pokojowo wzrastającego dobrobytu, połączona z ideą zamazania walki klas, w stylu dawno-amerykańskim, do którego rozkwitu doprowadziła kiedyś idea organizacji pracy, może już być, dla dostatecznie zmaterializowanych ludzi, dostateczną podporą dla przetrwania choćby istnienia – nie mówiąc już o jego przetwarzaniu i stwarzaniu nowych zupełnie wartości, w co wierzą tylko oportuniści i zwykli durnie, i karierowicze. Przetrwać – to już jest wiele, gdy naokoło widzi się zalewającą nas pustynię ducha – pogodzić się z beznadziejnością i żyć

w prawdzie, a nie omamiać się urojonymi nowaliami, które niby nadejść mają – nie brać ostatnich podrygów za zaczątki rzeczy nowych... – (przecież to ona sama kiedyś to mówiła!) – Jakże łatwo jest obiecywać jasną przyszłość, bełkocząc nieszczerze, ze skłamanymi łzami w oczach, banalne, oklepane pocieszenia ludzi niezdolnych do okrutnego myślenia: że przecież zawsze były wahania i oscylacje i ludzkość coś sobie dla uciechy zawsze wynalazła... – (Tracił zupełnie poczucie, w imię czego mówi – czy przekonywa ją, czy siebie samego z nią razem przeciwko sobie – powtarzał, jak papuga, rzeczy, których mu naopowiadał jeden z jego kolegów, były ekonomista-amator, Voydeck-Wojdakiewicz).

Księżna: Pleciesz, drogi, jak na torturach. Dobrobyt nie może wzrastać nieograniczenie, a uspołecznienie jako takie – *als solche*, powtarzam – może, i to niezależnie od dobrobytu, którego rozwój może się zatrzymać i żadna siła go nie wzmoże. Nie mówiąc już o Europie, widzimy to jasno na Ameryce: mimo wszystkich wysiłków organizacji pracy i maksymalnych wynagrodzeń, i oszałamiającego dobrobytu tych tam robotników, i wzrastającego współdziałania w przedsiębiorstwach, nic nie mogło uratować tego ładu od komunizmu. – Apetyty ludzkie są niezmiernie...

Genezyp: Stępią się – niech pani będzie spokojna. To było tylko kwestią czasu: jeszcze chwila i załatwiłoby się wszystko bez przewrotu. Właśnie w nowych społeczeństwach...

Księżna: Nigdy się nie dowiemy, jak to być mogło, gdyby i tak dalej... Fakt dowodzi mojej słuszności. Widać stąd, że jeszcze – **jeszcze**, powtarzam – trzeba idei wyższej, której tam brakło, a jakaż idea wyższa jest od narodowej?

Genezyp: O, to pani plecie! – (Postanowił być brutalnym). – Bez żadnego komunizmu, na tle ekonomicznej współzależności narodów, która wyszła na jaw po wojnie narodów, okazało się, że narodowość jest humbugiem, fikcją byłych rycerzy, tajnych dyplomatów, ciasno patrzących przemysłowców i operatorów czystego pieniądza. Wszystko tak się splątało na świecie, że mowy nie ma o oddzielnych narodach w znaczeniu samodzielności – (znowu zabrnął i nie wiedział, czy to, co mówił, jest jego własnym przekonaniem, czy tylko bezmyślnym małpowaniem Wojdakiewicza. —)

Księżna: To, co nastąpiło po Wielkiej Wojnie, to był właśnie zamaskowany bolszewizm pod pozorami międzynarodowych, ponadnarodowych, ale pozostawiających im jakieś niby odrębne życie, instytucji. I dlatego klapnęły te wszystkie ligi i międzynarodowe biura pracy i jest tak, jak jest teraz. – (Księżna używała ordynarnych słów polskich, nie zdając sobie sprawy z ich właściwego smaku). – Może być tylko narodowość, albo mrowisko – trzeciego wyjścia nie ma. Musisz żyć ideą narodową, bo należysz do tej ginącej części ludzkości. To trudno: nie można kłamać: nie być tym, kim się urodziło. Lepiej wcześniej zginać prawdziwym, niż żyć zakłamanym. Musisz mi się poddać, o ile nie chcesz dojść do swej własnej odwrotności, co z twoją naturą jest bardzo prawdopodobne. Musisz zostać tajnym członkiem Syndykatu, o ile w ogóle chcesz przeżyć samego siebie na swoich własnych szczytach, a nie na cudzym śmietniku. (– Genezyp zakrył twarz rękami: teraz go wzięła! Skąd ona mogła znać słowa, wcielające się w jego bezpojęciowy gąszcz, raczej wywlekające stamtąd, nadziane na symbole jak na patyczki, kawały żywego mięsa jego najistotniejszego trwania. Czyniła to oczywiście przy pomocy swych organów płciowych bezpośrednio, tak „intuicyjnie” („he, he, panie Bergson!”), jak klasyczny do znudzenia sfeks swoją sprawę z przeklętą liszką. On to wiedział i palił się ze wstydu, mimo że pochłoniął jeszcze w szkołach całą literaturę biologiczną od Loeba i Bohna począwszy, tych wielkich panów, co pojęcie instynktu rozbili w puch i proch, niszcząc pośrednio jedną z najpotworniejszych błag jakie były: bergsonizm). – Coś dziwnego przygotowuje się w atmosferze – są to ostatnie podrygi – zgadzam się, ale jest w tym posmak wielkości, której brak wszyscy tak boleśnie i obleśnie odczuwamy: „*Die Freude zu stinken*” – jak pisał ten nieszczęśnik Nietzsche. – (I zaraz dalej:) – Dotąd nie zdołaliśmy, mimo szalonych wysiłków, nikogo z nas wkłęcić w najbliższe otoczenie kwatermistrza. Ty jeden, jako specjalnie przez niego wybrany, – mówią, że twój ojciec coś nie coś wiedział o jego dalszych planach – możesz nam dostarczyć niezmiernie cennych wiadomości, choćby o jego sposobie życia, o tym, jak pije śniadanie i zdejmuje te swoje historyczne lakiery na noc. Przecież nikt z naszych nie wie nawet w przybliżeniu, jak przechodzi

codzienny zwykły dzień tego monstrumu. A potem oczywiście mógłbyś wślizgnąć się w rzeczy daleko ważniejsze... —

Z najniższych nizin, z moczarów, z tyłów ohydnych bud i śmietników, ale własnych, odpowiedział Zypcio: (rzeczywistość jak na niego wspaniała, ale wstrętna i zgniecie w małym loszku na brudnej słomie – dwa obrazy tańczyły w jego umęczonym mózgu, nie mogąc się przemóc. Załatwiła to mowa, niezależna jakby od osobowości. To pewno tamten trzeci, wariat, mówił w imieniu szlachetnego chłopczyka, sam szlachetnym wcale nie będąc – miał tylko wolę, „den Willen zum Wahnsinn”).

– Przede wszystkim na wszystko to nie będzie już czasu – czy wy sobie wyobrażacie, że Chińczycy będą czekać, zanim wy załatwicie wasze wszystkie brudne rachunki w imię waszych bezpłodnych, utuczonych brzuchów? Śmieszne złudzenia!

– A fe! Co za bolszewik! Opamiętaj się. Nie bądź ordynarny jak agitator jakiś.

– Mówiłem już, że szpiegiem nie będę – warknął – i to w imię żadnej idei, nawet absolutnie najwyższej.

– Nawet szpiegostwo dla celów wyższych jest czymś wzniosłym. A tu przecież... Nawet dla mojej przyjaźni? —

– Pluję na taką przyjaźń! Czy pani miłość poprzednia do mnie i demoniczne sztuczki były również wynikiem jakiejś, czy tej samej politycznej kombinacji? O, jakże upadłem strasznie... – znowu ukrył twarz w dłoniach. Patrzyła na niego jednocześnie z czułością matki i drapieżnością kota o włos od pochwycenia zdobyczy. Wypuczyła się cała, sprężyła ku niemu, ale dotknąć go jeszcze nie śmiała. Mogło to być przedwcześnie, a jeśli nie w tej chwili, to nigdy już. Genezyp czuł się jak mucha w lepie – o wyciągnięciu połamanych nóg mowy być nie mogło, a skrzydła brzęczały rozpaczliwie w powietrzu, dając złudzenie swobody. Miał aż do zaniku z niemożliwego wstydu do siebie i do całej sytuacji. – Postyszał dzwonek od drzwi wchodowych, dochodzący gdzieś z dalekich zakamarów nieznanego pałacu.

– Ty nic nie chcesz zrozumieć. Najpierw chodzi o ciebie samego, o twoją jedyną drogę życia, na której możesz się istotnie przeżyć. A potem o twoją karierę także, w razie zwycięstwa Syndykatu. Pamiętaj, że to nie wszystko jedno, skąd się patrzy na życie: czy z łoża parterowej, czy z przesyconego wyziewami paradyzu. „Leute sind dieselben, aber der Geruch ist anders” – jak powiedział pewien wiedeński fiaker Piotrowi Altenbergowi. Nikomu jeszcze nie pomogło programowe zdeklasowanie się, a powrót na swoje miejsce trudniejszy jest niż się to zdaje. – (Przerwać jakim bądź sposobem to walenie się ciężkich jak jakieś potworne kufry (właśnie) słów).

– Czyż pani myśli naprawdę, że my możemy zatrzymać Chińczyków i ostać się w tej parszywej, umiarkowanej demokracji wśród tego morza bolszewizmu?

– I to mówi wielbiciel i przyszły adiutant kwatermistrza! Sprzeciwiasz się, moje dziecko, zasadniczej myśli twego idolu.

– Nikt nie zna jego myśli – w tym jest jego wielkość...

– Dość wątpliwa co najmniej. Jest to siła, nie przeczę, ale wichrowata, siła dla siły to jest jego idea, siła w czystej formie. My, Syndykat, musimy go zużyć dla naszych celów.

– I taka galareta, która co chwilę mówi co innego, ma być wyrazem organizacji, która jego, JEGO chce zużyć! Cha, cha, cha!

– Nie śmieć się. Jestem zdenerwowana i gubię się w sprzecznościach. Ale któż się w nich dziś nie gubi? Widzisz: tam z Zachodu będziemy mieli tajną pomoc. To, że upadła Biała Rosja, niczego nie dowodzi. Tam nie było ludzi, takich właśnie, jak Kocmołuchowicz. Tam, na Zachodzie, młode bolszewizmy, jeszcze z lekka od spodu podnacionalizowane i używające tajnie faszystowskich metod, pod pozorami tego, że czas jeszcze nie przyszedł – co za sprzeczność! – drżą, powiadam ci, przed możliwością chińskiego gniotu, niwelującego wszelkie subtelniejsze różnice. Dlatego muszą nam pomagać, nie tylko w utrzymaniu *status quo*, czyli obecnego marazmu, ale muszą nas czynnie pchać w ideowo przeciwną im stronę, ze względów technicznych. W głowie się mąci, gdy się pomyśli

do czego doszła komplikacja życia. Finanse z Zachodu – to jest ten cud polski, którego te żółte małpy, z ich uczciwością, zrozumieć nie mogą. Potworne tajemnice ci mówię – za to – śmierć w torturach. A jeśli to się nie uda, to ostatnia zaporą dla Chińczyków przerwana, żółty potop i koniec rasy białej. Niestety, tak się wszystko uspołeczniło, że kwestia ras nawet przestaje coś znaczyć na wielką skalę – kolory skóry nawet stają się obojętne. Właśnie przychodzi pan Cylindrion Piętalski, baron papieski i szambelan, były dowódca kulomiotów gwardii Jego Świątobliwości. – Genezyp poczuł się owadem w tym domu: karaluchem, prusakiem, pluskwą. Ha – gdyby można czasem całego siebie wyrzygać prosto w nicość, nie przestając przy tym istnieć! Cóż to byłaby za frajda!

Wszedł ohydny (przecież mógłby być pięknym tego gatunku osobnik – więc po co? Po co i to jeszcze? Przypadek.), wymokły, obwisły, chudy na gębie, a brzuchaty na brzuchu blondyn, z rozczesanymi „po lordowsku” faworytami, w monoklu na czarnej tasiemce. Zaczął mówić zaraz (był widać uprzedzony). (Bezpliciowość jego była aż nazbyt widoczna – ten przynajmniej na pewno nie był kochankiem księżnej.) – mówił – i obecnym zimno robiło się od trupowatości pojęć, których używał. Po prostu czuło się, że kwestia narodowości w ogóle, a polskiej w szczególności, na skutek przemacerowania w literaturze od romantyzmu aż po ostatnich neo-zbawicieli, jako też z powodu przegwałdzenia jej na wylot na wszystkich obchodach, uroczystościach, wiecach, posiedzeniach i rocznicach w bezdusznych frazesach i obietnicach bez żadnego skutku, jest czymś tak martwym, wyczerpanym i dalekim od rzeczywistości, że nikogo nigdy **naprawdę** poruszyć już nie będzie zdolna. Jadowite kłamstwo ścinało żywe białko w promieniu sięgającym po orbitę Neptuna. Zdawało się, że na innych planetach i ich księżycach zamiera wszystko od nieznośnej nudy i jałowości problemu, że jeśli na satelicie Urana czy Jowisza zaczyna tworzyć się coś w rodzaju narodu, to oddech Piętalskiego, zionący potworną pustką frazesu, musi zwarzyć i zamrozić ten żywy kielek na odległość bilionów kilometrów. Wszyscy wiedzą, jak taki sos wygląda i pachnie, tym bardziej na tle zgniłego kawała rzeczywistości, którą podlewa i usmacznia – można nie cytować dosłownie. Było w tym coś niesłychanie męczącego – to samo-załgiwanie się typowego „poważnego człowieka”, czy też programowa błaga jakiegoś równie poważnego demona. Dobrze, dobrze – ale w imię czego? Nie – tak bezsensownej politycznie sytuacji nie było nigdzie, nawet w Hyrkanii, gdzie obok rządu bolszewickiego trwał błazeński król, pozostawiony niby na pośmiewisko dla innych – w gruncie rzeczy bardzo wtrącał się do rządów i sam bawił się znakomicie. A ten gadał – i słowa takie jak: miłość do kraju, ojczyzna, poświęcenie dla dobra narodu itp. (choć już mało było w ogóle takich słów – pozapominano wiele – kursowały tylko najmniej wyświechtane, w których jeszcze resztki znaczenia tłukły się jak ćmy o lampę łukową o tajemnicze ciemne ognisko ostatecznego sensu istnienia) padały z oślinionych, sinawych warg siwiejącego blondasa, „filaru” Syndykatu. On istniał tylko w tych słowach – poza tym był widmem, plamką na siatkówce Boga.

Genezyp dusił się ze wstydu za ten naród – (i za siebie jako element tego właśnie narodu). Co za pech! A jednocześnie brał odpowiedzialność za to, że wszyscy byli tacy – taki mały, różniczkowy Mesjaszek! Też się wybrał w porę! A tu myśl podła: czy warto w ogóle być czymś w takiej klapzdrze? Po co? Przypomniało mu się zdanie Tengiera: „urodzić się garbatym Polakiem – to wielki pech, ale urodzić się do tego jeszcze artystą w Polsce, to już pech najwyższy”. Dobra nasza („*bonne la nôtre*” – jak mawiał Lebac), że artystami nie jesteśmy. Nie – nie miał racji ten bluźnierca. Z takich oto powiedzonek składa się ta parszywa atmosfera „*Die Kerlen haben keine Ahnung was arbeiten heiss und dazu haben sie kein Zeitgefühl*” – tak mawiał Buxenhayn. Otóż: każdy swoje, nie oglądając się na innych, a może kiedyś... Ale znowu chińska nawała i ogólne spóźnienie się z tymi kwestiami. Poczuli bestie, że czas ucieka, jak zawisła im nad łbami (nic nie lepszymi od dawnych „golonych pałek”) żółta fala, niosąca niewymierne już z tymi dawnymi przeznaczenia. Za późno! Zatulić łeb w brudną pierzynę i robić swoje: odtąd – dotąd, nie myśląc o niczym – przeczytać głupią powieść, pójść na dancing, kogoś poobłapiać i zasnąć. Jeszcze nie przyszedł czas tak doskonałej organizacji – jeszcze trzeba było myśleć – Zjedzona przez „dziki kapitał” Europa nie mogła wyciągnąć ręki ku wstającemu Wschodowi – „trzeba było wszystko stracić, aby wszystko zyskać” – jak pisał kiedyś

Tadeusz Szymborski. Coś takiego kołatało się jeszcze w niektórych pół- i ćwierć-duszach i wyłaziło, gdy już bardzo na nie pluto, ale cóż to takiego było: jakaś cieniutka ambicyjka, że to niby jego naród, takiego oplutego, jakieś czysto zmysłowe przywiązanie do pewnych dźwięków (na Zachodzie Esperanto gnębiło coraz bardziej rodzime mowy), jakieś pół-bydłęce uczuciutko do krajowego „narzecza”, to był ten tak zwany i znieawidzony patriotyzm. A w gruncie rzeczy maska dla apetytów. A to straszne, psia-krew!

I on w imię tych trupów-pojęć, wyrosłych jak grzybki na trupie dawnego kompleksu uczuć, zwanego: – tak czy owak – wszystko jedno – on miałby popełnić najgorsze świństwo w stosunku do tego jedyne go człowieka z jajami, biednego Kocmołuchowicza, skazanego oczywiście w tych warunkach na zagładę? Nie. Podniósł się znów z dymiących oparzelisk jaźni tajemny gość z krainy obłądu, gdzie wszystko jest takim, jakim być powinno – dla niektórych oczywiście. W pewnej chwili Zypcio dał w twarz Piętalskiemu i wyrzucił go do przedpokoju. Słyszał jak tamten pluł i charkał – i było mu wstyd, a jednocześnie cieszył się, że patriotyczna idea została trochę pomszczona. Niech nie biorą takich ohyd na jej nosicieli. Dużo by dał, aby dowiedzieć się teraz, jaki jest jego własny procent (%) narodowości. Nic – widział tylko żółte wyłogi swego munduru i czuł, że on, ten pogardzany dzieciak, dokonał jednak czegoś morowego. Miał dobrą intuicję – o, tu to słowo jest na miejscu – ale równie dobrze mogło to być fałszem. (Jak słusznie mówi Edmund Husserl: czemu tzw. „intuicyjne” (ulubiony obecnie termin zarozumiałych bab nie chcących myśleć i zbabiających mężczyzn) odkrycia robią zawsze jednak specjaliści wyszkoleni w danym fachu – analogia pewnych form myślowych, zużytkowanie przyzwyczajęń badacza, przeskakiwanie szeregów myślowych, automatyzacja – ot co jest, moje panie. „Zwycięzicie kiedyś i to tym samym pogardzanym intelektem – to inna rzecz, ale racji nie macie” tak mawiał *à propos* tego problemu Sturfan Abnol). Nie wiedział jednak Zypcio, jakie będą tego „czynu” następstwa: mordobicie to przyspieszyło o całe 2 tygodnie wybuch pewnych wypadków. Bo Centrala Syndykatu Zbawienia przygotowywała na wszelki wypadek małe „powstańko wywiadowcze”, jak to się nazywało. Kraj był tajemnicą dla wszystkich patriotów prawie tak wielką, jak sam Kocmołuchowicz. Już nikt nic nie rozumiał i wszyscy dusili się wprost w tym cudzie ogólnego niezrozumiałstwa”. (termin Karola Irzykowskiego – niech będzie przeklęty za ten wynalazek, pozwalający każdemu durniowi odsądzić od wszelkiej wartości najwartościowszą rzecz). Trzeba było choćby paru kropel krwi, aby się dowiedzieć, co właściwie jest: „zanurzenie lakmusowego papirka w świżą krew” – jak mówił Piętalski. Że ktoś tam musiał przy tym zginąć, z tym nie liczono się zupełnie. Dopiero w razie inicjalnego powodzenia można by atak ten rozszerzyć i kto wie, czy nie utracić samego generał-kwatermistrza, który ku zgorszeniu Syndykatu wachał się na razie przynajmniej dość bezwstydnie z najbardziej radykalną częścią armii, znajdująca się pod wpływem pułkownika Niehyda-Ochluja. (Oczywiście „radykalność” ta była mocno zamaskowana i jako taka względna). Zresztą główni działacze Syndykatu Zbawienia nie angażowali się w ten „eksperyment” – podrzędnych można się było w wypadku klęski wyprzeć jako nieodpowiedzialnych.

Tamten pluł i charczał w przedpokoju. Genezyp blady, drżący, zadyszany, zaciśniętymi pięściami wparty w poręcz fotelu, patrzył na bezwstydne nogi księżnej, które zdawały się być przepojone szatańską esencją niepojętej w swym natężeniu zmysłowości. Że też noga może mieć tyle wyrazu i to zamknięta w jedwab i twardy lśniący lakier. Gdyby tak taką nogę można było zgwałcić jako oddzielną istotę i wreszcie nasycić się jej (względnie ich) złowrogim czarem... Rozmyślenia te przerwał huk. Zatrzasnęły się nareszcie drzwi wchodowe, nazbyt mocno dzwoniąc łańcuchami. Skazańcy spojrzeli się na siebie – zwarli się kłamiowymi zwykle gałkami ócz naprawdę, ich tajemnym fluidem (który jest tylko zwykłą konwencją podobnych między sobą istot), jak dwie bańki na mętnej kałuży rzeczywistości. Walka z Cylindriem rozpętała w Genezypie to coś ze dna, ten głód nieskończoności, który kusił go zawsze do nadzwyczajności – choćby potwornej – byle nie to, co jest i być ostatecznie może. Niestety, któż to potrafi – tylko obłąd lub zbrodnia przebić może tę ścianę popolitości – czasem twórczość – ale i to nie. Mniejsza z tym. Tak się tego bał – ale w tym

tylko był urok życia. Nie był sobą – jedyna chwila odpoczynku ponad całym istnieniem. Psychiczny szaleńca własnej produkcji, a stwarzający mimo to coś obcego, nie wiadomo gdzie istniejący (jak „byt idealny”) świat absolutnej zgody wszystkiego ze wszystkim. Tak: nie był sobą: (o rozkoszy!) tamten wewnętrzny drab patrzył przez jego oczy, jak przez szybki, jak zwierz, czający się w ciemnościach.

A potem wszystko zmieniło się w to... Zwalili się na siebie, jakby z nieskończonej, bezkierunkowej w istocie wysokości obojętnej przestrzeni. To darcie na strzępy ucieleśnionej w miękkich zwałach rozkoszy, to bezwstydnego odarcie ze skóry nagiego mięsa palącego się dziką żądzą, to nieludzkie **nasycanie** wydartego z trzewi prawie metafizycznego **bólu**... Nasycanie bólu? Tak. Znowu przekonał się, że to jest jednak coś, i w ten sposób rozwiązując problem natychmiastowego, na poczekaniu, zwariowania, zapadł jeszcze głębiej w nieprzewyżnione objęcia swych potworów z Krainy Dna. Ryjąc jak wieprz całym sobą w najstraszniejszym świństwie istnienia, wisiał nad całym światem, świdrując wzrokiem wściekłego jastrzębia tonące w bezgranicznej przepaści zła **tamte oczy**. **W ich spotęgowanej rozkoszą ukośności** zdawała się lśnić Tajemnica Bytu. A wszystko to kłamało zawzięcie, z bestialską, idiotyczną furią. Doszedł Genezyp do szczytu: usamotnił się w tej chwili okropnej, zamiast się omamić złączeniem dwóch ciał. Psychicznie dalej w tym kierunku pójść nie można. Bardziej był samotnym teraz, niż wtedy z Toldziem w dzieciństwie i nawet niż wtedy w łazience.

Ponuro oddała mu się księżna, czując, że mimo wszystko nie potrafiła zgłębić tego smarkacza, tak, jak chciała. O, jakież smak miał dla niej teraz, kiedy dostała go tak prawie z łaski bezecnego przypadku! To nie była dawna matematyka i w tym tkwił nowy, groźny urok. Niech sobie mówi, co kto chce, ale te ostatnie chwile mają też swoją wartość. „Z łaski, z łaski” – szeptała, podniecając się aż do szału tym uświadomieniem upadku, potęgując do niemożliwości tragizm, ponurość, beznadziejność palącej się wszystkimi jesiennymi barwami młodości, rozkoszy. A młodzik rznął z potęgą również „na zło”. I tak syciły się ich dwie złości, tworząc nieomal jedno zło, bezpłciowe już, samo w sobie, jedyne. Wygnana z tych „zawrotnych” uścisków miłość (teraz jedna już, nie rozdzielona na dwie osoby) uśmiechała się smutno gdzieś na boku – wiedziała, że to, co robiło tych dwoje, zemścić się musi i czekała spokojnie.

Informacja: Ze zdwojoną siłą zabrał się do szykowania zamazku stanu pobity Cylindrion Piętalski. „Tak?” – mówił sobie – „Chcecie? To zobaczymy! Ha – teraz wyjaśni się wszystko”. Taki mały pozornie fakt skondensował tak energię „filaru” Syndykatu, że plan eksperymentu, zielony jeszcze w dzień ten, dojrzał i spęczniał w dni następne w żrały, złocisty owoc, gotów do zerwania przez byle kogo. Samo szło ku temu – „przebąkiwacze” podejrzewali, że akcją kierują agenci samego Kocmołuchowicza. „On też „potrzebuje” zobaczyć co jest na dnie” – przebąkiwali. Wypadki wydzierały się pojedynczym indywidualnościom z rąk i „hasały” same – na razie w małym zakresie. Najteższe względnie indywidualności zdawały się być tylko emanacjami pewnych ugrupowań – musiały tak, a nie inaczej postępować, traciły wolę osobistych czynów. Trzymał się jedynie w swej wewnętrznej twierdzy sam Kocmołuchowicz.

Technika tego wszystkiego nudna była jak rekolekcje nieszczerzego księdza – ten tam coś szepnął, temu wręczył papirerek, z tym pogadał, tamtemu coś dał, tu pogroził, tam się podlizał, a tamten robił to samo z drugimi – co tu o tym pisać. Psychologie też były nieciekawe z wyjątkiem struktury wewnętrznej wodza, o której nikt nic nie wiedział: Melanż w różnych proporcjach ambicji, wielkich słów o małych znaczeniach, brudny spryt i czasem trochę ordynarnej siły. Poza tym wszyscy o wszystkich myśleli, że są świnię, czasem nawet włączając w to siebie samych.

Wszczęta przez Cylindriona sprawa honorowa doprowadziła z wiedzą Dowództwa Szkoły do honorowo zadawalniających, a jednak bezkrwawych

rezultatów. Ze względów politycznych uznano za stosowne, aby Zypcio przeprosił Piętalskiego, a do aktów dołączono dokument lekarski, „endorsowany” na ślepo przez samego Bechmetiewa, a stwierdzający lekki sten nienormalny mordobijcy na tle przejść rodzinnych.

Genezyp opuścił pałac Ticonderoga, tak zwany „*fornication point*” z „pianą życia u pyska”. Dobra jest askeza, ale lepsza jeszcze jest dobra fornikacja. Kompromis na całej linii. W tajnych zakamarkach gromadził broń przeciw księżnej i miał zamiar użyć jej w odpowiedniej chwili. Na razie jednak pogrążył się z rozkoszą samowiedzy w zupełnym upadku. Parskał i prychał, tarzając się po samym dnie rozpusty. Aby ująć szpiegom Syndykatu „*podozritel'naja paroczka*”, jak nazywała ich oboje księżna, urządziła schadzki w małym plugawym domku, wynajętym i urządzonym wprost przepyszenie w tym celu przez samą księżną instygatorkę tego świństwa, na dalekim od centrum miasta przedmieściu Jady. O zdradzie nie było mowy. Na długie tygodnie ten „*gieroj naszawo wremieni*” był unieszkodliwiony.

Myśli wodza, a teatrzyk Kwintofrona Wieczorowicza

W trzy dni po tym smutnym incydencie zamieszkał Zypcio przy rodzinie – miał już swobodne noce poza służbą – został „starszym junkrem”. Spędzał noce te na szaleńczej wprost miłości z księżną, która w przecuciu niedalekiego końca troiła się po prostu czy dziesięciorzyła nawet w oczach i rękach rozwyrzonego programowym upadkiem szczeniaka. Poznał wreszcie Genezyp, czym jest przesyty. Dziwne to były chwile, gdy patrzył na te istności, które wczoraj jeszcze zdawały się być tajemnicami bez skazy, doprowadzającymi oczy do wysadzenia z orbit, a z rąk czyniącymi nienasycone polipy, jak na zwykle przedmioty codziennego użytku. Ale krótkotrwałe były te stany. Zawsze coś nowego jeszcze umiała wymyślić ta stwora, wydobyć nowy „trick” z niewyczerpanego zapasu swych przebogatych doświadczeń i to bez zbyt ordynarnego demonizmu. A jednak tamta chwila w łazience działała z oddali czasu, promieniejąc niewyczerpanie niby radium – chroniła od miłości – ale za to była rezerwą dla zamierających czysto-płciowych rozdrażnień. W tym było zło i bezpieczeństwo dość podłego gatunku. Coś psuć się zaczęło pozornie bez żadnego powodu.

W tym to czasie poszedł Genezyp któregoś wieczoru do teatru Kwintofrona Wieczorowicza. Zaprowadził go prawie gwałtem Sturfan Abnol. Szła już jego druga sztuka pół-improvizacyjna, w której, dublując rolę jakiegoś zamierającego ze zmęczenia podlotka, miała po raz pierwszy wystąpić Lilian. Dotąd Genezyp nie chciał zgodzić się na zobaczenie siostry swej na scenie. Może była to podświadoma zazdrość, a może ukryty wstyd rodowy za aktorkę w rodzinie, pannę bądź co bądź Kapen de Vahaz. Za wolno płynęło życie i to odczuwał nie tylko Zypcio, ale cały naród, a najbardziej sam Kocmołuchowicz. On miał koncepcję, nie dającą się zawrzeć w słowach, nieuchwytną, jak pajęczynka, a mocną jak wiązania lin stalowych – czuł ją w swoich mięśniach, w błyskach woli, w tym wypiętrzaniu się ponad siebie samego, co było jego specjalnością: chciał, by ten naród jako całość był jedną osobowością, tak potężną jak on sam: machiną odrobioną najwyższą dokładnością do ostatniej śrubki i gwińcika, a jednocześnie swobodną jak pozornie swobodnym jest obłok beztroski na ciemnogłębnym szafirze przestrzeni. Takim był i chciał czuć ten cały blok surowca jako swoją własną rzeźbę: zakłętę w nieruchomość materii mięśniowe czucia, aż pękające w doskonałości idealnej jedni. Cóż z tego: wychodziły z tego rzeźbienia kulfony. Ale i z nich, jak z perwersyjnych elementów, zbijał jakąś pseudo-konstruktywną, improvizacyjną kupę. On, jeździec nad jeźdźcami, jechał na lichej, leniwej, zapadłobokiej kobyle. Ale lubił nawet swoje błędy, kochał się w sobie **beźświadomie** – taki kawalerski hypernarcyz-byk. Na to uświadomienie brakło mu jeszcze jednej duchowej platformki wzwyż, którą, gdyby osiągnął, straciłby możliwość czynu, poczułby paraliżujący metafizyczny nonsens wszechrzeczy. Był pociskiem; naród cały czuł tak, jakby czuł za sobą pocisk (gdyby czuł) skłębioną w gilzie piroksylinę. I kondensował pod sobą eksplozywną miazgę, która go miała wypchnąć z gmachu kwatermistrzostwa na ulicy Bykoń, jak z armaty, w wyższe regiony przeznaczeń. Czytał tylko do łóżka i to tylko *Barcza*¹ i *Wyspę Skarbów* Stevensona. Po czym spał twardo do piątej na prawym brzuchoboku i budził się z świeżymi ustami, pachnący świeżo skoszonym sianem. One to lubiły bardzo.

Dzień „premiery” Lilian podwójnie był (później oczywiście) pamiętny dla Zypka, bo przed południem odbył przegląd szkoły Sam Wódz. Z nudów oczekiwania (jego nudą mogłoby się zabawić jeszcze z pięćdziesięciu głównodowodzących ze wszystkich armii świata) rozpoczął objazd prowincjonalnych „wojennych” szkół. Była to jedna wielka orgia fetysyzmu. Ale Kocmołuchowicz miał jedną zaletę rzadką: uwielbienie innych spływało z niego jak deszcz z oilskinu, a przy tym nie obowiązywało go do bycia nadal tym właśnie uwielbianym. Umiał nie dopuścić bałwochwalczej czci dookolnej, nawet najbliższego otoczenia, do tego rozkosznego wewnętrznego organu (tej „lehtaczki ambicjowej”, jak go nazywał), którego wtórne działanie stwarza potem wtórną osobowość (nie tą

¹ *Generał Barcz* – powieść polityczna Juliusza Kadena-Bandrowskiego z 1923 r. [przypis edytorski]

którą się być miało) jako sumę wszystkich drobnych popchnięć czcicieli, nowotwora, pożerającego często najcięższe charaktery.

Wszelkie porozumienie z Chińczykami było wykluczone. Właśnie niedawno wrócił przecie starszy syn księżnej, ambasador z Hańkou, w zaplombowanym wagonie. Nikt dosłownie nic nie wiedział. Po wysłuchaniu raportu **kazano** młodemu księciu zamknąć w celkowym więzieniu kwatermistrzostwa i tyle o nim słyszano. Tajemnica stawała się coraz bardziej jątrząca w swej kurtyzaniej zalotności. Już, już miała się odłonić i znowu oddalała się, tańcząc lekko i zwijając się w zwojach niewiarogodnych blag. Wszelkie starania księżnej zmierzające do uzyskania widzenia się z synem, nie odniosły żadnego skutku. Coraz bardziej była z tego powodu rozdrażniona, a całą rozpacz topiła w potężniejącej rozpuście z Zypkiem, który stawał się podobnym raczej do jakiegoś upiórka ze złowrogiego snu o utraconej młodości, niż przyszłego adiutanta Wodza. A piękny był jak młody diabeł. Dorosłość samcza wypełzała powoli na młodzieńczą gębusię, nadając jej wyraz ostry – okrutnej siły i bezwzględności, co połączone z władczą lubieżnością podbitych na *himmelblau* oczu działało na kobiety rozpierająco-mdlejącym chwytem od spodu. Na ulicy przepelzały przed nim nieznajome baby jak suki. Och, gdyby raczył... Ale na razie miał dosyć – wyższej marki nie znajdzie teraz – a „malinowe światło” pokrywało drobne usterki. Zbyszony lalusz, udrapieżniony, zjastrzębiały efeb, krew z mlekiem na sino od spęcznienia tęgich mięsnych łodyg – księżna oszalała kompletnie – pokryła ciągłą błyskawicą ekstazy straszliwą ranę swego ciała. A program Zypcia był taki: w dzień męczące ćwiczenia i nauka, a w nocy przygotowanie do lekcji i dzikie wyuzdanie. Nauczył się spać dwie do trzech godzin – trening był niezły. Zaczął trochę (troszeczku) pić i chwile „pochmielja” dawały mu dziwne stany rozkosznego i męczącego odosobowienia z tym, co nazywał „wariacją na zimno” (na razie) – katatoniczne prawie zakrzepnięcie, w czasie którego intelekt pracował z precyzją niemal rachunkowej maszyny. Mroczny człowiek-duch-bydlę z dna dawał znać o sobie często, ale słabo – czaił się do skoku jakby – czasem **myślał** – te to myśli zapisywał Genezyp w dzienniku. Razem później czytali go z tą... ale o tym później. Coraz częściej przypominała się i coraz większego uroku nabierała nawet pomaturyczna, niedawna przeszłość, nie mówiąc już o dalszym dzieciństwie. Dalekie to było jak góry, wyłazące zza uciekającego widnokręgu. Czuł się wtedy starcem. Obcością sobie samemu upajał się jak nieznanym narkotykiem. Zabawne są początki, ale potem...

„O jakże dziwnym jest świat, widziany przez oczy wariata,
W spojrzeniu ich, zdrowy człowieku, nie poznałbyś wcale świata”.

jak pisał ten „zły” kolega. Żałował Genezyp, że go stracił. Gdyby tak teraz mieć go tu pod ręką! Ileż rzeczy tajemnych wyjaśniłoby się bez reszty. Zachowywał całą świadomość niebezpieczeństwa, bez poczucia jego jakości. Skąd ono nadejść mogło? Czy od strony tego draba, którego gościł w podziemiach swoich psychicznych bebechów i w które on, ten obcy, zdawał się wraść coraz dokładniej, przyjmując ich formę a nawet i wchłaniając zawartość. (Pseudomorfoza). Czy też z zewnątrz ze sfer splugawionej miłości, w których przebywał z księżną? Mimo głębokiego skrytego wstrętu do niej i do siebie poddawał się wrażeniu, że nikt nigdy tak jak ona podobać mu się nie będzie, a nade wszystko, że nikt takich sztuk wyprawiać i tak odgadywać jego najwstydlivszych życzeń nie potrafi. Nauczył się wreszcie walczyć z demonizmem, oczywiście nie na skalę największą. Takiego natężenia jak w Ludzimierzu nie osiągnęły te objawy już nigdy. Ale przecie, ale przecie. Nagłe odmowy kończyły się dzikimi gwałtami (nawet jeśli ich podłożem były sfingowane ataki świętości). Wzbudzana kunsztownie zazdrość odgrywała rolę erotycznego motorku dodatkowego, gdy pomęczone gruczoły chciały spać, a dusze pragnęły jeszcze oszalamiającej, wytwarzającej złudzenie jakiegoś nowego gatunku poznania, ujednijającej ich oboje w jakieś hyperjestestwo rozkoszy.

Informacja: Nie wiadomo dlaczego w tym czasie wszystko przybrało zupełnie odmienny wygląd, a nawet charakter wewnętrzny. Jakiś prąd samouświadomienia przebiegł przez zankylozowane ciało biednego społeczeństwa. Poprzez potworne

w swojej nudzie frazesy o organizacji pracy (która bokami wylażała już nawet najgorszym pedantom i niewolnikom czasu) i poprzez dawne śmietnisko patriotycznych fatałaszek przegładnęło coś nieznanego. Ludzie uśmiechnęli się do siebie idiotycznie, nie wierząc sami, że w ogóle coś czują. Jak skała wynurzająca się wśród opadających wód odpływu, występowała jedyna prawda i wartość: społeczeństwo samo w sobie jako takie. Powiedzieć to jest głupstwem, ale naprawdę przeżyć to i ustosunkować się w tym wymiarze do codziennego dnia, ho, ho – to jedna z najistotniejszych przemian ludzkości. Ale jeszcze trajkotały różne gęby bezkoszta na usługach rozłazących się w zgniłym, ostrym sosie przeszłości mózgow i głuptasie z Em-es-zetu uczyły się po dawnemu jak cienkie patyczki i wiórki nawet kłaść między szprychy rozpędowych kół olbrzymich maszyn. I to było najciekawsze, że prąd ten przebiegł dosłownie wszystkie odcienie społeczne, nie wyłączając nawet wybitnych członków Syndykatu Zbawienia. Ale nie każdy może, nawet w chwilach objawień, tak łatwo rozstać się ze sobą w związku z praktyką życia. Widzimy często ludzi brnących do końców swych istnień w kierunkach, których wewnątrz dawno się już wyrzekli. Bardzo wielcy starzy znawcy, czując w sobie również jakieś młodociane dreszczyki, stworzyli teorię, że to katalityczne działanie na dystans nagromadzonej w takich ilościach obcej masy żółtej pod wielkim ideowym ciśnieniem. Może było to i słuszne. [Jak wiadomo wojen skasować nie zdołano (W epoce tych tam różnych Lig i błag, i międzynarodowych flag, i realnych fig), ale unicestwiono lotnictwo wojenne i gazy – nie zdołano jedynie tych ostatnich w psychicznej odmianie zniszczyć w stosunkach prywatnych i publicznych, w polemice literackiej, naukowej i dotyczącej spraw społecznych i narodowych – trudno. Jakim cudem wszyscy się tego trzymali (nawet Chińczycy), nie wiadomo – podobno na tle zbyt silnego wojennego instynktu, odziedziczonego po przodkach. Bo przecie każda wojna byłaby w tych (poprzednich) warunkach niemożliwa, a widocznie chęć wojowania jako takiego silniejsza była od chęci zniszczenia wroga i sąsiada]. Okazało się później, że przyczyny tego stanu były bardziej skomplikowane, mimo że nikt (prócz może jednego Kocmołuchowicza) sprawy sobie z tego nie zdawał. Oto pozornie społecznie *explicite* obojętna wiara proroka Dżewaniego, którą zaopatrzeni w odpowiedni narkotyk emisariusze zaszczepiali, zaczynając początkowo od warstw najniższych, poczęła już zmieniać nieznacznie atmosferę uczuciową kierującej inteligencji. Najgorsze męty oddziaływały na trochę lepsze – potem robotnicy na majstrów, ci znów na dyrektorów, a ci na Radę Gospodarczą Centralną. Służące działały na „panie”, a niższa gawiedz urzędnicza na swoich zwierzchników. Do Kocmołuchowicza i jego najbliższego otoczenia nie doszła jeszcze ta fala (mimo rozmów zupełnie otwartych z samym Dżewanim i jego agentami) – nie doszła bezpośrednio, uczuciowo, ale spodziewano się ważnych wypadków w związku z koniecznością zajęcia jakiegoś określonego stanowiska w tej sprawie przez ten centralny punkt przecięć sprzecznych (narodowej i czysto społecznej) sił, żądz i nadziei, jakim było generalne kwatermistrzostwo armii.

Ta chwila, w której Zypcio zobaczył Generał-Kwatermistrza, wchodzącego do sali jadalnej Szkoły, to była naprawdę chwila, a nie jakieś głupie orgazmy, wyduszane sztuczkami na tamtym zjełczałym, arystokratyczno-mongolskim cielsku. Ugięły się pod nim kolana, ale oczy, z jastrzębią żarłocznością, wpiły się w oczy tamtego. Czarne śliwy, zatopione w medium szklisto-spermatycznym, obrotowe maszynki dodatkowe spotworniałego w nieprzyzwoitych myślach o nieosiągalnym człowieczeństwie jakiegoś hypermotoru. To ruszało się, to żyło – ten wąs był z prawdziwej, żywej szczeciny, jak u foki w ogrodzie zoologicznym, jak u Michalskiego! Jeszcze sekunda upojenia rzeczywistością tej mordy i ujrzał przeznaczenie swoje i całego kraju, wywalone na wierzch, jak

flaki z martwego bydlęcia. Jakież to ono było! I przecie tak jasno to widział, a słowa by o tym pisać nie potrafił – nie tylko temu Cylindrionowi bez czci, ale samemu nawet sobie w najgłębszym wewnętrznym zamyśleniu. Coś po prostu wielkiego czaiło się w tym pół-bogu dawnego autoramentu (ale nic z szlacheckiej swołoczy ubiegłych wieków), coś co przechodziło jego samego, jako jakość i potęgę. Otóż to: wielkość jako zjawisko, nie „stan psychiczny”, (podstawy tego są: natężenie woli, ilość i jakość implikowanych w danej awanturze osób, siła nie zwracania uwagi na jednostki [bez wykluczenia ludzkich uczuć], ogólna bezmyślność w wykonywaniu raz powziętego zamiaru; poczucie własnej nierzeczywistości, jako przecięcia sił; poczucie wyższości czegoś ponad sobą: od Boga do społeczeństwa, poprzez naukę, sztukę, filozofię; poczucie samotności metafizycznej; marne, życiowe właściwości każdego pospolitego drania, uniezależnione w swych funkcjach od tamtych elementów – dość) polega na tym, że podstawa jej w danym człowieku jest za mała w stosunku do rozrastających się wzwyż i wszerek kondygnacji... Nic – nic na ten temat **ogólnego** powiedzieć się nie da – dajmy temu spokój.

Ale on, Zypcio, był jednak jakimś elementem dynamicznym w bliskości punktu zdeklanszowania – bez niego nic. Ale co? Intuicyjna bzdura – 5% sprawdza się przypadkiem (i potem gadają o tym te mistyfikiatka trzeciej klasy całymi latami) albo się zapomina o tych 95% i też jest dobrze. Znowu zapadł Genezypcio w ciemności: Ojciec, jako skrzydlaty bykołak w białym wirze gwiazd; Kocmołuchowicz – czarność całego wszechistnienia, oplatająca nawet Boga matki razem z Michalskim, oddech palącej nieskończonej nocy świata całego, i księżna, jak złota szpilka (fałszywa), przebijająca „naskwoz” cały ten burdel życiowych, umetafizycznionych wielkości; a on sam jak ogonek merdający się z radości a należący do nieistniejącego kundelka.

Cała ceremonia: „baczność”, zerwanie się „junkrów” od stołów (programowa niespodzianka), „spocznij”, zasiądnięcie Wodza do podłej ryby z jarzynami (rzygać mu się tym chciało po dobrym śniadaniu w „Astorii”), jego „ćmiak” (umiał ćmiakać, kiedy chciał, dla zjednięcia sobie popularności – na pewnej już wysokości drobne błędy robią wcale niezłe wrażenie) – wszystko to przeżył Genezyp nie jako ten: jakieś katatoniczne bydlę przeżyło to na martwo, na nie było. Ocknął się, gdy już junkrowie, i on sam, przechodzili „wolno”, nie w szyku, do szwadronowych lokali. Przechodził tuż mimo NIEGO ze ściśniętym sercem – wszystko mu opadało, było za luźne, podwiązki, gacie, spodnie, coś go swędziało, czuł się w rozkładzie, jakby nie był tym, który miał prawo kochać Wodza. Był szczytem wielorakiej roztrzęsionej niedoskonałości, a chciałby być kryształem, choćby w tryklinicznym systemie.

– Nastąp się, durniu – burknął Kocmołuchowicz na adiutanta, młodziutkiego księcia Zbigniewa Oleśnickiego, cudnej rasy i urody bubka, takiego prawdziwego arystokraty z *Almanachu de Gotha*, a nie puszącego się, durnego, szlachetkowego „ziemiańskiego” smroda, bez manier i bez wewnętrznej wytworności. Tych nie cierpiał Wódz i kopał ich przy lada sposobności gdzie popadło. Rozplaszczony jak bura suka „eddekan” umknął się w tył, nieomal między nogami Wodza. Jakże kochał tę chwilę Genezyp! Gdyby ta chwila mogła być osobą! Cóż to byłoby za szczęście! Gdyby czas jako taki mógł być rozciągliwym, gdyby można go było napiąć, jak jakąś skórę na spęczniałej rzeczywistości, a? I potem dopiero... No – nic. Orkiestra zagrała piekielnego kawalerskiego marsza, kompozycji jeszcze starego, dobrego, klasycznego Karolka Szymanowskiego [którego pomnik, dłuta czy pięć Augusta Zamoyskiego, opluła niedawno grupa muzycznych bezkręgowców pochodzących od Schönberga, i który, po przed-ostatniej fazie religijnej, wpadł (na tle popularności **znowu** wojny w okresie „krucjaty”) w szal wojenny i w tym szale skończył.] i dusza Genezypa, porwana wirem wojennej, czysto-kondotierskiej wzniosłości uleciała w niedosiężne kręgi wymarzonej śmierci na tak zwanym „polu bitwy”. Tak umierać niech tylko będzie wolno, przy takiej muzyce, w oczach takiego hyperkomandora, a reszta to **furda** – właśnie furda, to niesmaczne, przykre, „ślachcickie” słowo.

– Baron Kapen de Vahaz, Genezyp – szepnął Oleśnicki między puszyste włoski na mięsistym, *czut' czut'* semickim uchu Wodza. Pytania Zypcio nie słyszał, ale widział ucho... Być **nawet** kobietą, aby móc się mu, mu, muuuu...

– Stój! – To on „sam” na niego krzyknął! Zwrot w lewo, trzask obcasów i brzęk ostróg i samo ucieleśnione wojenne wypięcie wyrosło przed czarnymi śliwami-smorodinami Kocmołuchowicza. Między nimi dwoma była jakaś ciągła nieskończenie szybka błyskawica, w obie strony jednocześnie. Cement fluidu krzepi na niezniszczalny zaświatowy mur. W tym była przyszłość. Jako też była. I to jaka! – Ty nie rozplywaj się w empirejach! – Nie-do-uwierzenia! To on do niego mówił. Słowa, jak wyhodowane w zaświatach, nieistniejące rajskie ptaki, siadały Zypciowi na głowę, zdobiąc ją w pióropusz chwały już nie z tej planety. Tam to, w jego głowie, stawały się one naprawdę tym, czym były. A przy tym obaj mieli tyłki, dziś srali, tylko co obaj rybę żarli – jakie to dziwne. Nawet Kocmołuchowicz miał lekki atak hemoroidalny *à la* Roztopczyn. Nie – to piekielnie dziwne.

Zawisły nad Genezypem długie, kozackie wąsy i śmiejący się wzrok dzika, orła, byka i Węgra, i ujeżdżacza czy nawet koniokrada jednocześnie – i ten kocmołuchowaty, nieujęty, nieuchwytny, najistotniejszy wzrokowy chwyt pajęczotygrysi. (Fotografie były nieznane, bo straszliwie karane – jak mit to mit tęgi – musi zginąć wszelki ślad. – Nigdy nie powinien wzrok ten dać się zafiksować, złapać, utrwalić, stężyć). Spadła w tym piwnym, raczej czarno-porterowym, smolistym, a żywym jak ukrop i sam ogień wzroku Wodza maska erotycznego świństwa z niedosłego, granicznego jeszcze adiutanta. Jak wszystko się uwzniośliło w tym wybuchniętym z samych psychicznych jąder zachwycie. I księżna jak anioł gdzieś pływała w nieznanym medium, jak chybki wiertnik-wymoczek w szklance zgniłej wody – ho, ho! – jak wysokawo, obłokawo, kadzidławo, świętawo. I matka stała się jedyna i konieczna, ta, a nie inna, razem ze swoją nową manią kooperatyw i Michalskim. Ten wzrok organizował swą specyficzną, skupiającą i porządkującą potęgą, dowolnie rozłożoną miazgę flaków. Zdawało się, że jeśli spojrzy na śmietnik jaki najgorszy, to wszystko się tam ruszy i ułoży w prześliczną promienistą gwiazdę symetrii i harmonii. Tako zbił w kupę rozkładającego się Zypcia i uczynił porządek we wątpiach jego i duchowych „rozpołożeniach”. Wszystko tak było cudne – cudne aż do bólu – przelewało się po brzegi świata (nie **poza** – to niemożliwe) pianą spienionego szczęściem duchowego pyska. Położył się pełny siebie na krawędziach wszystkości i trwał. I to on to sprawił, ten ciemny chuj morowy, w generalskim, zalepionym orderami mundurze. Muzyka rwała kiszki na niebiańskie flagi, sztandary i chorągwie ku czci tamtego, prawie Nienazwanego = „Kocmołuchowicz” to był znaczek dla ludzi – on sam nie mógł się nazywać, był jedyny. Jego Jedyność nie potrzebował nazwy – był – to dość. Czy tylko był? Boże! Oddał tę mękę... może go nie ma wcale...? Ale jest, jest – o! – śmieją się smoliste gały, błyszczą tęcza orderowych wstęg i nogi (jakie też on może mieć nogi?) wypychają wspaniałe, lakierowane ostrogowate buciska. [Cóż dopiero działo się z babami!! Strach pomyśleć. Po przejeździe Jego Jedynośći przez ulicę wszystkie musiały majtki zmieniać jak jedna. Aż chlupało im w międzykrocach z suchego uwielbienia. Lepiej chwytalo, niż najpiekielniejszy hałas ponurej dźwiękojebni samego Tengiera. Ano, ano]. Z wdzięczności za jedną taką chwilę można było umrzeć – byle prędko – byle zaraz.

– Ojciec – padło pierwsze bardziej osobiste słowo – rozlało się po arteriach słodką trucizną dającą siłę, męstwo, odwagę bez granic, prawdziwą żądzę śmierci. (Ach, ojciec! że też Zypcio o nim zapomniał! – przecież to on zgotował mu tę chwilę jedyną! – „tak, tak, ojciec – tak, ojciec, ojciec”, – powtarzał w myśli ze łzami początek zdania tamtego, mówionego do niego). – Ojciec polecił mi cię, Zypulka – a? Za 3 miesiące zgłosisz się młody wędrolaju w stolicy u mnie do raportu. Pamiętaj, że główna rzecz w życiu to się **nie przeczekać!** *A beau se raidir le cadavre* – (to było słynne jego, jedyne francuskie, ale koślawe, przysłowie). – Panowie: – zwrócił się do całej sali, stojąc na prawym skrzydle pierwszego szwadronu. (Zypcio był drugim w drugim – pierwszy jeszcze nie ruszył zza stołów). Był to jeden z tych jego szaleńczych historyczno-historycznych występów-wystąpień – jedna rzecz, której się bał, aby w niej nie przesolić. Historyczne ataki zupełnej bez wątpienia szczerości, nieobliczalnej, która, rozpraszając mrok w detalach, utajemniczała go jeszcze bardziej ogólnie w oczach tłumów, a nawet najmorowszych inteligentów. Tam sięgał w chwilach tych, gdzie kryła się jeszcze morowska tajemnica, niż jego własna osobowość: stan społeczny obecnego przekroju. A potem zaraz do Zypka cicho szeptem metalicznym: Zypcio mało nie umarł ze szczęścia, po prostu mało nie zesrał się w

portki. Po prostu zachodził w ciążę we łbie jakimś nieznanym płodem: nieugiętą w pojęcia myślą Wodza, jego marzeniem o ogólnej potędze. – Nie masz pojęcia, lizogonku, jak to świetnie się złożyło, żeś wtedy wyrznął Piętalskiego w mordę. – (Boże, Boże! Skąd on wiedział o tym, ten kawaleryjski bóg? On zdawał się czymś tak ogólnym, że nie powinien wiedzieć „zda się” o żadnym „zasię” takim marnym fakcie). – Akurat mi trzeba przyspieszeń dla małej próby sił. – (Głośno). – Panowie! Musimy zrobić próbę. Wiem, co mówię i do kogo. Agenci moi prowokują Syndykat już od dwóch tygodni. Nikt nic nie wie i ja też. Dostyc tych ciuciuduszek. Ja nie mogę jechać na Centaurze – ja muszę mieć pod sobą konia sztandarowego. Naród w sumie może być normalnym durniem – byle by chciał siły. Zamiast naszej „*Wille zur Ohnmacht*” stawiam hasło: „wygiąć się aż do pęknięcia”, bo „lepiej pęknąć, niżli gnić”, nawet jeśli to pęknięcie znaczyć będzie międzyplanetarnie tyle, co by ktoś tam sobie pierdnął. Panowie: taki los parszywy każdego żywego stworzenia, że sobie samemu wystarczyć nie może. Spodziewam się, że wobec mojej notorycznej tajemniczości – mam odwagę o tym mówić – tym różnię się od wszystkich innych działaczy ziemskich – (każdy był szczęśliwy, że on się tak z nim spoufala – aż ze skóry własnej się rwał czort wie gdzie z bezwstydną „niegi”) i bliskości wojsk Niebieskiego Państwa, zdenerwowanie strony, która uwzięła się, aby być stroną wrogą wobec mnie i armii, jest wielkie i prowokacja się uda. Będziemy wiedzieli wtedy jasno, jakie procentowe rozłożenia w kraju. Parę trupków jest koniecznych. Ale każdy facet, który padnie tu, spomiędzy was, czy tam, to cyfra w moim notatniku tajemnym, o ile go w ogóle mam. Cha, cha, cha – „zalał się” weselnym, chamskim, radosnym jak ryk rozkoszy bydłęcia, śmiechem. – Ja papierków nie lubię, chyba klozetowe – *post factum* – niech mnie historia podetrze i dowie się *qu'est ce que j'avais dans le cul, czy dans le ventre même*. Mój notatnik to mit, panowie – ilu chińskich szpicli za nim goni, a żaden go nawet nie wahał z daleka. Każdy z was to jeszcze jeden parametr we wspomniałym równaniu, które układa się tu! – Uderzył się beczelnie w łeb – słyhać było to uderzenie na całą salę. Ryk rozkiełznanego zachwytu i cicha, gwałtowna chęć śmierci dla i za tego koniokradowego zgeneralonego dojeżdżacza, z domieszką osiemdziesięciu procent Aleksandra Macedońskiego i dziesięciu procent księcia de Lauzun, wypełniła salę. Gdzieś w drugim końcu oberwały się i poleciały zmurszałe po-pneumatyczne stiuki na głowy rozpalone junkrów – dwudziestu było rannych – wyli jeszcze bardziej z zapалу (a nawet z animuszu) opatrywani na miejscu, na sali. Kocmołuch otrząsnął żółtawo-biały pył z lśniącego dekoracjami munduru i rzekł:

– A pamiętajcie chłopcy, że ja was kocham, was jednych – bo całą rodzinę moją, żonę i córeczkę, to ja mam w zadzie mego „Siwka”. – To były te okropne powiedzonka, które zjednywały mu najszałeńszą miłość i to wśród najwytworniejszych bubków. Oleśnicki płakał rzewnymi łzami, a komendant szkoły, generał Próchwa nie wytrzymał: złapał litrową butelkę czystej dzikowskiej i wychlał całą do dna na oczach całej szkoły, po czym wciągnął, również przy wszystkich, w krwawy nochał, gram najlepszej lśniącej kokainy Merck'a. „Bo żebym ja miał sobie czego odmawiać, dlatego aby o pięć lat dłużej żyć? Niedoczekanie anielskie. Najwięcej energii kosztują człowieka te wszystkie abstynencje” – mawiał dziewięćdziesięciopięcioletni starzec. Już go Kocmołuchowicz trzymał w swych kawaleryjsko-kleszczowatych objęciach. Piła cała szkoła – jutro i tak dzień wolny. W przeczuciu wielkich wypadków, których ten czarny, młody jeszcze, chmyzowaty wąsał był żywym wcieleniem, ogarnął wszystkich śmiertelny szal pojmwania najwyższego uroku życia już prawie w samym tchnieniu nagłej śmierci. (Są naprawdę chwile, kiedy i gram kokainy nie zaszkodzi. Ale trzeba o nich dobrze wiedzieć – nie wziąć innej chwili za tę właśnie. A przy tym zasada ta stosuje się tylko do silnych: „*meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen*”

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.